CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 49

WARSZAWA, DNIA 3-go GRUDNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

† Stanisław Przybyszewski

(ur. 6 maja 1868 r. w Łojewie, zmarł 23 listopada 1927 r. w Jarontach).

Na wiejskim, rozmokłym cmentarzu w Górkach złożono na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Stanisława Przybyszewskiego. Dzieło jego przed dwudziestu laty hypnotyzowało młode pokolenie. Był artystą o sugestywnem, egotycznem na świat wejrzeniu. Stworzył sobie własne królestwo ducha. Przyszłość z podziwem patrzeć będzie na ten swoisty, gigantyczny wysiłek. Nie było bowiem w Przybyszewskim nic zapożyczonego.

Syn ziemi nadgoplańskiej, przechował w wyobraźni swojej wszystkie krasy i uroki rodzinnych pól, torfowisk, zagajników. Myśl jego twórcza stale oplatała się dookoła pierwszych wrażeń dzieciństwa. Światoburcze swoje melodje snuł pod akompanjament tych doznań psychicznych. Pragnął być śpiewakiem duszy. Jej drogom i bezdrożom poświęcił całożyciowy trud. Ufał, iż tylko ten świat zainteresowań godny jest artysty. Niósł wysoko sztandar sztuki, całopaląc na jej ołtarzu wszystkie troski, bóle, nadzieje. Pod urokiem jego niezwykłej indywidualności byli nietylko rodacy. Niemcy, Szwedzi, Norwegowie, Rosjanie składali mu hołdy. Wpływ artystyczny Przybyszewskiego sięgał Bułgarji, Jugosławji, Czech. Tłomaczono go na liczne języki.

Nie stworzył jednak szkoły, choć miał naśladowców. Ekstatyczna, wizyjna, płonąca jego wyobraźnia była tak indywidualną, że nikt nie mógł jej dorównać. Słowo Przybyszewskiego rozlewne, majestatyczne, pełne dźwiękowych i obrazowych czarów nie mogło też znaleźć imitatorów. Wszelkie próby kończyły się klęską. Tylko on potrafił być władcą w świecie, stworzonym przez jego wyobraźnię i tragiczną metafizykę.

Przybyszewski, twórca własnego poglądu na życie, hypnotyzował nie mniej od poety „Nad morzem". Od zarania swojej karjery pisarskiej posiadał ukształtowaną świadomość artystyczną. Tak w Berlinie, jak później w Krakowie, głosząc kult „nagiej duszy", opierał się na przezwyciężeniu mechanistycznego na świat poglądu. Była to epoka tryumfu witalizmu. Przybyszewski, wychowanek berlińskiego uniwersytetu, przetransponował na swój sposób irracjonalizm i uczynił z niego podstawę pod hasło sztuki dla sztuki. Było to wyzwolenie od koszmaru niewiedzy. Skoro wszystko jest niepewne, pozbawione przyczyny, dającej się ująć racjonalnie, niech choć sztuka będzie świątynią, ucieczką dusz udręczonych walką z wielką tajemnicą bytu. Artysta, idący drogami „nagiej duszy", miał przez irracjonalne a uporczywe odsłanianie tajników swojej twórczej psychiki sięgać w głębiny Absolutu.

Równorzędnie głosił Przybyszewski nową genezis nie z ducha, lecz z chuci. Bo „na początku była chuć", jak mówiła jego parafraza słów świętej księgi.

Tragizm człowieka tkwił w odpowiedzialności za „taniec miłości i śmierci", wśród którego żyć musi każda jednostka. Rewolucjonista Przybyszewski nie uchylał się od

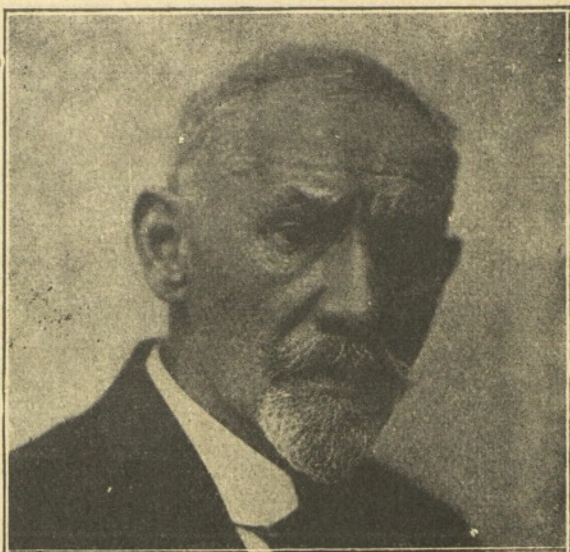
grozy „grzechu, co się mści", choć jest jakgdyby poza wolą ludzką.

Na koncepcji tej stworzył wszystkie najbardziej wartościowe dramaty: „Dla szczęścia", „Złote Runo", „Goście", „Śnieg". Sumienie ludzkie wyolbrzymił do żywiołu niszczącej, ślepej, nieodwołalnej potęgi.

Tą postawą ideologiczną wstrząsnął co wrażliwsze, co głębsze umysły Polski z przed lat dwudziestu. Sztuka jego dramatyczna usiłowała współczesnego człowieka pokazać na koturnach klasycznej, odpowiedzialnej za życie tragedji. Był to ton nowy w naszej sztuce. Nie mieliśmy przecież wtedy tragedji, twórczość nasza teatralna obracała się w ramach komedji lub sztuki historycznej. W teatrze Przybyszewski przeprowadził również płodną w następstwa reformę. Od wystawienia jego sztuk aktor nasz zaczął wstrząsać nie gestem, pozą, deklamacją, lecz skupieniem, pogłębieniem, celowością świadomych akcentów w grze.

Stanisław Przybyszewski-powieściopisarz pozostawia po sobie cykle „Homo Sapiens", „Mocny człowiek", „Dzieci Nędzy". I te utwory swojego czasu były bardzo poczytne i modne. Rzucano na nie gromy, za „niemoralność". Gdy się je porówna z beletrystyką naszych czasów—zadziwiają moralnem ujęciem zjawisk życia erotycznego. Przybyszewski, pokazując swój „Taniec miłości i śmierci", usiłował wydarzenia fabuły powiązać w pewien splot dramatyczno - psychologiczny: jego bohaterzy ginęli, męczyli się, filozofowali, ale nigdy nie przechodzili łatwo wobec własnych czy cudzych czynów.

W pewnych kołach snobistycznych dużego autorytetu zażywał twórca „Il regno doloroso", jako satanista, okultysta, mag. Przybyszewski dla średniowiecznych praktyk „Synagogi szatana" zachował przez całe życie zainteresowanie. Gdy stracił wiarę w naukę jeszcze za lat uniwersyteckich, szukał w wiedzy tajemnej wyjaśnień dla swoich zaciekawień intellektualnych. Przybyszewski wyróżniał się bowiem wielką chłonnością umysłu. Był człowiekiem o niezwykłej skali intellektualnych potrzeb. Do śmierci zachował żywość i wrażliwość wielkiej swojej inteligencji. Muzyka w życiu jego była chlebem powszednim. Odczuwał piękno dźwięku nadzwyczaj głęboko. Czarował sam, jako odtwórca Chopin'a, Schumanna, Beethovena. Pozostawił po sobie książki o Chopinie, poematy złożone w hołdzie twórcy genjalnych mazurków. Jego studjum pod tytułem „Z gleby kujawskiej" otworzyło wrota sławy J. Kasprowiczowi. Pomógł St. Wyspiańskiemu do realizacji jego dramatów na scenie. Umiał bezinteresownie szerzyć swój entuzjazm, hypnotyzował nim, zniewalał.



Ś. p. Stanisław Przybyszewski

W lata wojny dał nam książkę kojącą „Szlakiem duszy polskiej". Ile w niej było miłości dla naszej kultury, dla piękna duchowego, spuścizny po wielkich naszych artystach, osądzi sprawiedliwa przyszłość.

Pracował do końca swojego ciężkiego, smutnego życia. Niedawno dziękowaliśmy mu burzą oklasków, gdy na premjerze „Mściciela" z desek Teatru Narodowego, mówił:

„nie mnie składacie hołd, lecz staremu, przedwojennemu pięknu. Uskrzydlała je dusza i poczucie odpowiedzialności moralnej".

Nie przemówi już do nas więcej jego głos wnikliwy, cichy, zmęczony walką z niedolą życia. Niełatwe bowiem miał istnienie ten rasowy, egotyczny artysta. Śnił mu się już ongiś biały, miękki śnieg, jak koił serce nadmiarem cierpień wypróbowane.

W mroźny, śnieżny poranek w sąsiedztwie niedalekiem od słomianej strzechy, gdzie ujrzał światło dzienne na rodzinnej ziemi, oddał ducha wieczności.

Nie bał się śmierci. Czekał na nią w spokoju. Pisał przecież w smętnem przeczuciu:

„Niech zgasnę, — czemprędzej zgasnę, bym mógł tylko w wzmożonej potędze powrócić...
A wrócę — wrócę"!

* * *

Biały śnieg otulił torfowiska; mróz ściął wody świętego Gopła; wiatr wyszarpał na piaszczystych ugorach kępy sinych liszai; miotliska wierzb przydrożnych zakołysały się, zachybotały, przygięły.

Echo chwyciło cichą, tragiczną pieśń: „In hoc lacrimarum vale".

Biały, miękki śnieg zasnuł ziemię rodzinną kujawską. Czyżby dał świadectwo prawdzie przeczuć twórcy „Nad morzem"? Czyżby potwierdzał jego płomienną wiarę:

„Niech zgasnę, bym tylko mógł w wzmożonej potędze powrócić!"

Eustachy Czekalski

Wspomnienia o Przybyszewskim

W okresie niczem nie zamąconej apoteozy autora „Ogniem i mieczem" nagle na literackiem naszem niebie ukazał się kometa o blasku przedziwnym i ściągnął na siebie wszystkie spojrzenia, wielu spokojnych ludzi przeraził, wielu odważnych zdumiał, całą młodzież olśnił. Był to Stanisław Przybyszewski, twórca „Homo sapiens", niesamowity tłomacz muzyki Chopina, filozof „nagiej duszy", czarodziej-prozaik, który ze swoim światem poetyckim wypłynął zuchwale naprzeciw świata Sienkiewiczowskiego. Spotkanie tych na dwóch słońcach dwóch odmiennych bogów w ówczesnych przestworzach naszego kulturalnego życia wywołało wielką burzę. Słońce Sienkiewiczowskie na chwilę jakby przygasło. Słońce Przybyszewskiego zajaśniało podwójnie mocno pośrodku nowej konstelacji przez siebie wyłonionej. Nazywała się ta konstelacja „M ł o d a P o l s k a" i zaświeciły w niej gwiazdy, które szybko miały się powiększać, jak Wyspiański, Kasprowicz, Stanisław Brzozowski, i gwiazdy mniejsze, które, jak np. Żuławski, miały stopniowo blednąć.

Niewielu literatów polskich chodziło za życia w takiej sławie, w jakiej chodził Przybyszewski. Przed dwudziestu pięciu laty rozgłos jego nazwiska zaćmiewał nazwiska wszystkich innych. Ale laur sławy autora „Dla szczęścia" podszyty był kolcami tak gęsto, jak sława żadnego ze sławnych naszych twórców. Uchodził za gorszyciela, plotka żerowała na nim łakomie, panny z mieszczańskich domów nie wymawiały jego nazwiska bez rumieńca, dostojne matrony, królujące samowładnie na czterech pokojach, czytały „W godzinie cudu" pokryjomu, nic nie rozumiejąc, *a priori* zdemoralizowane. Śmiech

pusty bierze, gdy się dzisiaj pomyśli, że Przybyszewskiego okładano kwarantanną jako pisarza niemoralnego, że jego „De Profundis“ nie uzyskało aprobaty cenzury ze względu na rzekomą nieobyczajność tego utworu w gruncie rzeczy zaciekle moralizującego. Później to nieporozumienie samo się jakoś rozpuściło. Wówczas jednak, gdy jako pachole poznałem autora „Na drogach duszy“, patrzyłem nań z wewnętrznym dreszczem i nie bez lekkiej obawy wsłuchiwałem się we wszystko, co mówił. Pewnego razu — za drugiej czy trzeciej mojej wizyty u Przybyszewskiego — odwiedził go bardzo nerwowy, bardzo wielomówny młody człowiek, blady jak papier, z dużą czarną czupryną i z rzadką ciemną bródką, zwisającą w kosmykach. Szybko chodził po pokoju, powiewając długim czarnym surdutem. Opowiedział treść dramatu, który zamierzał pisać. Dość ważną rolę odgrywał w tym dramacie ksiądz. Potem opowiedział założenie drugiego dramatu. I w tym dramacie był ksiądz. Młody człowiek uśmiechnął się, spojrzał nie wiem dlaczego na mnie, i rzekł, jakby się tłomacząc:

— Nie umiem myśleć bez księdza.

Gył to dwudziestoczteroletni Stanisław Brzozowski.

— Co myślisz, Stachu, o tych koncepcjach? — zwrócił się znów do Przybyszewskiego.

— Napisz — odpowiedział Przybyszewski z odrobiną ironji.

— Ten drugi dramat napisałbym, ale razem z tobą. Tutaj potrzeba twojej mocnej ręki.

Przybyszewski wstał z kanapy i oparł się o piec, ponieważ w pokoju było dosyć chłodno.

Brzozowski czekał na odpowiedź. Ale Przybyszewski uparcie milczał, najwidoczniej niezadowolony z propozycji. Miałem wrażenie, że się powstrzymuje od skarcenia tego nieznanego literacika. Brzozowski to odczuł, zażenował się i znów zaczął prędko mówić o bohaterze swojego dramatu, rozwodził się nad trudnością znalezienia motywu do takiego a takiego rozwiązania.

— Bo dlaczegóż ma on właśnie tak postąpić? — gorączkował się Brzozowski, jakgdyby głośno myśląc. — Tego w jednym djalogu nie dowiodę! Co? nieprawdaż? A w dramacie wszystko musi być lapidarne i jasne. Każdy człowiek w dramacie...

Wówczas z ust Przybyszewskiego padły słowa, które mnie zdumiały. Nie przypuszczałem (miałem siedemnaście lat), że mogę coś podobnego usłyszeć z ust tego „satanisty“, „dekadenta“, tego postrachu warstwy małomieszczańskiej.

— Każdy człowiek, robaczku, — rzekł Przybyszewski z pod pieca — przynosi z sobą na świat dziesięcioro bożych przykazań.

Później, gdy dojrzałem, gdy lepiej poznałem istotę twórczości tego fenomenalnego władcy słowa, zrozumiałem, że jego dzieła powstawały w napięciu religijnego uczucia, że w jego duszy odbywają się święte dyonizje, uroczyste, modlitewne obcowanie z boską tajemnicą wszechrzeczy i że z tych właśnie natchnień rodzi się literatura



St. Przybyszewski i W. Grubiński przed dwudziestu laty

Przybyszewskiego, wstrząsająca, wulkaniczna, czasami naiwna, czasem nawet śmieszna w wyrazie dla ludzi do dna trzeźwych, do dna wykarczowanych ze skłonności mistycznych. W Przybyszewskim zapóźnił się człowiek średniowieczny, nie mogący uwierzyć, że wszystko, co go otacza w wieku XX, te noce *a giorno* oświetlone w wielkich miastach, te polerowne samochody, ten komfort w mieszkaniach ludzi bogatych, te wygody w pierwszorzędnych hotelach, te wykwintne restauracje, gdzie snuje się milcząca służba poważnie uprzejma, te nieprawdopodobnie jarzące się brylanty za cienką witryną jubilerską, o którą dobrodusznie ocierają się żebracy, ta cicha winda w kamienicy, ten warczący aeroplan między obłokami, te fraki w teatrze, te wydekoltowane suknie na balu, te wymierzone ukłony, te stereotypowe uśmiechy, że to jest nieprawda, że to jest maskarada, że to nie o to chodzi, że w pewnej chwili całe to udawanie spadnie, zleci, i ukaże się straszny sabat djabłów i czarownic, że się odsłoni grzeszny człowiek, obłąkany ze wstydu, z przerażenia, nie mogący żyć bez grzechu, a za grzech karany przez demony, równie jak człowiek nieszczęśliwe. To też Przybyszewski prawie pogardzał światem. Tak mi się przynajmniej nieraz wydawało w ciągu wieloletniego codziennego mojego z nim obcowania w Warszawie, zaszczycał mnie bowiem swoją przyjaźnią. Na tymczasowość istnienia ludzkiego, pełnego gwałtownych pragnień, rozpaczliwej miłości, trujących upojeń, musiał patrzeć ze śmiechem, z tem złośliwem swojem he, he, którem odpowiadał w swoich dramatach na widok beznadziejnej walki człowieczej z losem. Wszyscyśmy zamknięci w naszem doczesnem przeznaczeniu, jak insekty w szklanem pudle, jak raki w worku. Koniec końców czeka nas szpilka przyrodnika, albo patelnia kucharza. Niewarto dokonywać bezgranicznych wzlotów śród ciasnej przestrzeni, lub deptać nieszczęśliwych współtowarzyszów niedoli. Jedno jest tylko piękne na tym głupim świecie: pieśń o Wielkiej Tajemnicy, która nas otacza, z której wyszliśmy bez naszej woli i która nas pochłonie mimo nasz dziecinny strach. Niech żyje Sztuka! Pozatem jesteśmy śmieszni, naiwni, mali z naszym wielkim rozumem, nieszczęśliwi z naszem ogromnem szczęściem. He, he! Dwa razy dwa jest pięć!

Romantyzm pełnej krwi, lekceważący „mędrca szkiełko i oko“, entuzjazm dla uczucia, sięgającego po za grób. „Leżał rozpostarty na gwiazdach“ — mówi Przybyszewski o Chopinie, a bohaterka „Śniegu“ opowiada sen o tem, jak ją objęła jej dobra piastunka, która po chwili przeistoczyła się w szkielet, tulący do siebie bezbronną dziewczynkę. Tam na gwiazdach jest niepojęty sens bytu; śmierć - piastunka wyniesie nas z ciemnego pokoju życia na jasne przestworza wiekuistej Prawdy. Świat doczesny jest karykaturą.

I napojony niesmakiem, Przybyszewski zamykał się w wieży z kości słoniowej, gdzie milkło jego szydercze he, he, zamykał się w świątyni zwanej Sztuka dla sztuki i śpiewał pieśń Wielkiej Tajemnicy. „Na kirem pokryte ugory mej duszy spadła biała róża. Czyja ręka anioła ją zwiała?“

Dzisiaj, gdy znużone oczy zamknął na czas nieskończony, na jego ubogą trumnę spada nieśmiertelnik.

Wacław Grubiński

Przybyszewski w życiu Krakowa

(Z moich „Wspomnień")

Jesienią 1898 roku zjechał do Krakowa Stanisław Przybyszewski. Poznałem go w dwa dni po przyjeździe u jednego z moich przyjaciół, którego A. Nowaczyński uwiecznił w swych nowelach jako „Histerycznego histrjona", a który był niezwykłym oryginałem, lecz pozatem człowiekiem zamożnym i gościnnym. Już owego wieczora otaczało Przybyszewskiego duże grono osób. Chociaż bowiem zaledwie od dwóch dni przebywał w Krakowie i chociaż poprzednio utwory jego mniej były poczytne na naszym partykularzu, niżby przypuszczać można — stał się już w Krakowie „sławnym" człowiekiem.

Kraków był zawsze wielkiem miastem prowincjonalnem, nawet wówczas, kiedy przodował w kulturalnem życiu Polski i gdy koncentrował w swych murach najwybitniejsze polskie jednostki z dziedziny nauki, literatury i sztuki. Typowym przejawem tej prowincjonalności była „pantoflowa poczta"; wiadomości, opinje, sądy krążyły tutaj z ust do ust, prasa codzienna odgrywała właściwie, jako źródło informacyjne, bardzo nikłą rolę. A dalej musiał Kraków posiadać zawsze jakąś osobistość na świeczniku, jakąś „osobliwość" — nie licząc, oczywiście, lokalnych luminarzy. Dzięki tym właściwościom Krakowa przedewszystkiem, stał się ingres Przybyszewskiego tak rozgłośny wprost z dnia na dzień. Wiadomość o jego przyjeździe rozeszła się niewiadomemi drogami w szerokich kołach, wzbudziła bardzo duże zainteresowanie.

W zainteresowaniu tem grał niewątpliwie mniejszą rolę *„der geniale Pole"*, sam twórca, jako taki; pociągała ciekawość raczej osobliwość, *„das Wundertier"*. W krakowskiem „podśmietaniu towarzyskiem" — jak je złośliwie nazywał Nowaczyński — zakotłowało, „paniusie" zadręczały się zawiścią, że Przybyszewski był już gosciem w tym czy owym domu, a ich domu nie nawiedził jeszcze. Nagle zbudziło się epidemiczne pragnienie poznania „wielkiego człowieka" i dokuczało tem srożej, ponieważ stugębna fama roznosiła po mieście najdziwaczniejsze plotki osobistego charakteru o autorze „Homo sapiens", „Synagogi szatana", „De profundis". Personifikowano autora ze wszystkimi jego bohaterami, a nawet z podrzędniejszemi postaciami powieści. Tak Przybyszewski niemal z dnia na dzień stał się „krakowską" sławą.

Szczuplejsze grono inteligencji i młodszej generacji literackiej, śledzące już oddawna rozwój twórczości wielkiego pisarza, powitało jego przybycie do wawelskiego grodu z równie wielkim entuzjazmem, chociąż, oczywiście, wynikającym z innych przyczyn. Wszak Przybyszewski przynosił z sobą żywe to nowe tchnienie z Zachodu, które znaliśmy tylko z książki i które w zestawieniu z ówczesną przeciętną polską twórczością wydawało się wprost czemś niebywałem.

Bliższe osobiste poznanie pisarza potęgowało jeszcze entuzjazm i sympatję dla niego. Albowiem ten wielki człowiek był w stosunku do bliźnich bardzo prostym, bardzo szczerym i bardzo serdecznym— wygłaszał nowe artystyczne hasła nie mentorskim, imperatywnym tonem, lecz głosem cichym, spokojnym, przyjacielskim, kiedy niekiedy tylko nieco podnieconym w toku bardziej zaciekłej dyskusji — nie narzucał nikomu swoich przekonań, cierpliwie wysłuchiwał cudzej opinji, choćby nawet żywcem nadającej się do wydrwienia, naprowadzał pośredniemi drogami rozmówcę na to, o czem chciał go przekonać.

Tylko tym czarem wewnętrznym, jaki w ogromnej mierze posiadał, tylko tym ujmującym sposobem postępowania można wytłomaczyć, że zdołał skupić około siebie duże grono ludzi, nietylko wielbiących (czasami i bezkrytycznie) jego talent, ale nieraz bardzo się wzajemnie różniących i upodobaniami i przekonaniami i uzdolnieniem. Do grona tych stałych towarzyszy należeli i profesorowie Akademji sztuk pięknych i profesorowie uniwersytetu i literaci i malarze i dziennikarze i ludzie w bardzo luźnym związku z jakąśkolwiek sztuką pozostający. A jednak osobistość Przybyszewskiego zespalała ich w jedno bractwo duchowe.

Grono było niezbyt liczne, ale na ogół dobrane. Zbierało się bądź w mieszkaniu Przybyszewskiego przy ul. Siemiradzkiego, bądź z liczniejszym udziałem uczestników w t. zw. „Paonie", zarezerwowanym gabinecie w restauracji głośnego „Turla", naprzeciwko teatru im. Słowackiego. Rozmowa toczyła się na wszelkie tematy, nieraz przybierała formę namiętnych dyskusji, zwłaszcza gdy pełen temperamentu malarz Jan Stanisławski przeciwił się komuś. To znowu Przybyszewski siadał do fortepianu i grał swego umiłowanego Chopina lub upiorną Schumannowską sonatę, na temacie której osnuł legendę o zamordowaniu dziecka. Słuchający milczeli wówczas, poddawali się bezspornie nastrojowi, który potęgowało użycie, a nieraz i nadużycie alkoholu w formie bardziej lub mniej skoncentrowanej.

Raz po raz zjawiali się w tem codziennem gronie goście z Warszawy, bawiący przejazdem w Krakowie literaci i dziennikarze, to znów przybywał ktoś z szerokiego świata. Nie zapomnę nigdy zjawienia się w mieszkaniu przy ul. Siemiradzkiego głośnego malarza Ślewińskiego, Wszedł do wnętrza w groźnej burce baraniej, z grubym sękaczem w dłoni; sprawił wrażenie raczej średniowiecznego rozbójnika, niż artysty. W pierwszej chwili nawet sam Przybyszewski nie poznał przybysza. Bywał tu gościem i profesor Wincenty Lutosławski, skarżący się wiecznie, że musi oddychać dymem tytoniowym, wydzielanym przez innych, na co otrzymał kiedyś dowcipną odpowiedź od pani Dagny Przybyszewskiej, że i jej nie jest miło oddychać wydychanym przez niego powietrzem. Często siadywał tu na uboczu Stanisław Wyspiański, obserwując, jak zwykle w milczeniu, rzadko tylko wtrącając się do rozmowy przenikliwym głosikiem, w którym brzmiało zawsze jakby utajone szyderstwo. Zdarzały się i głośne, tętniące wesołością zabawy, kiedy młody medyk p. Sz. wycinał na skrzypeczkach skoczne mazurki i obertasy, lub gdy profesor geologji dr. Grz. i znany artysta p. Józef Kotarbiński sekowali się przez parę godzin dowcipnie improwizowanemi przyśpiewkami na nutę ludowej piosenki o słońcu i pogodzie.

Naogół tak się jakoś składało, że na zebrania tego cygańsko - intelektualnego bractwa, prócz zwykłych uczestników rzadko tylko dostawały się postronne osoby z poza kół artystycznych. Trudno się dziwić, że w tych warunkach ciekawość ogółu była podrażniona dociekaniem, co się dzieje na tych „tajemniczych" obrzędach. I, oczywiście, wnet ta „paniusia" opowiadała tamtej „paniusi" najdziwaczniejsze historje, a plotka, która raz zakiełkowała, znajdowała podatny i żyzny grunt do dalszego rozrostu. Kiedy zaś taką samą „pantoflową pocztą" przedostawała się na grunt warszawski, wyrastała tam w potworne wprost kształty

Pamiętam, jak zaśmiewaliśmy się kiedyś z Przybyszewskim, czytając w jednem z codziennych pism warszawskich feljeton, który ogłosił znany literat i krytyk p. S. Przedstawił on niewinne wieczory w „Paonie" jako sataniczne obrzędy, jako jakąś „czarną mszę", budząc, niewątpliwie wśród czytelników grozę i oburzenie, że świątobliwy Kraków toleruje takie zgorszenie i bezeceństwo.

Było to zabawne, ale i smutne poniekąd. Jeżeli bowiem dołączymy do tych „autentycznych" relacji podstępne oceny utworów Przybyszewskiego, pojawiające się tu i ówdzie w prasie, a przedstawiające fałszywie — nierzadko skutkiem niezrozumienia — teorję „nagiej duszy", czyż możemy się dziwić, że w pewnych kołach mało uświadomionych filozoficznie i estetycznie czytelników urobiono biednemu Przybyszewskiemu na długie lata opinję demoralizatora i apostoła Szatana?! Najniesłuszniej, gdyż „Paońskie" wieczory były zwykłemi biesiadami cyganerji, tem cnotliwszemi, że zazwyczaj bez udziału kobiet, tak jak z drugiej strony każdy, kto naprawdę umiał i chciał

POLICHROMIA W KATEDRZE METROPOLITALNEJ LWOWSKIEJ. RESTAURACJI DOKONAŁ ART. MAL. M. A. WYSOCKI



Fragment apoteozy siedmiu tajemnic boskich przez królów



Scena przedstawiająca, jak Mojżesz nasyła plagę wężową na żydów za cześć okazywaną wężowi miedzianemu

czytać, doszukiwał się w dziełach Przybyszewskiego zgoła czegoś innego, głębszego, niż erotyzm, ruja i porubstwo.

Plotki budziły niezdrową sensację. One jednak podtrzymywały tę „popularność" Przybyszewskiego w Krakowie, jakiej bynajmniej nie pragnął. One, niewątpliwie, przyczyniały się do tego, że publiczne wystąpienia Przybyszewskiego, dość zresztą rzadkie, gromadziły tłumy słuchaczy, wśród których było zawsze dużo młodzieży. Ci poszukiwacze sensacji wychodzili zapewne z odczytów rozgoryczeni i zawiedzeni w oczekiwaniach, ale nie przeszkadzało to dalszemu trwaniu opinji, że Przybyszewski jest demoralizatorem młodzieży.

Cios popularności Przybyszewskiego w społeczności Krakowa zadało dopiero ogłoszone przezeń „Confiteor". Pseudointeligent, odgrywający rolę znawcy sztuki, nie mógł ścierpieć, że otwarcie i bez ogródek nazwano go „mydlarzem". Pojawiły się na łamach pism zjadliwe repliki mydlarskie, odbyły się zebrania dyskusyjne, na których, jak np. w Kole Artystyczno-literackiem, ciskano na pisarza i na jego wyznanie wiary najsroższe gromy potępień.

Tymczasem jednak w życiu prywatnem Przybyszewskiego zaszły nieprzewidziane wydarzenia. Równocześnie tygodnik „Życie", będący jego organem, a podtrzymywany wysiłkiem dwóch bezinteresownych entuzjastów, zachwiał się ostatecznie w materjalnych podstawach i przestał wychodzić. Los powiązał Przybyszewskiego z Krakowem najsmutniejszemi wspomnieniami. Po krótkim pobycie w Berlinie nie chciał już powracać do Krakowa, przeniósł się do Warszawy, gdzie właśnie Miriam stworzył „Chimerę".

Pozostawił w Krakowie garść zawsze życzliwych mu ludzi, bo tych, którzy naprawdę hojnie czerpali ze skarbnicy jego umysłu i uczucia. A z jego wyjazdem życie w Krakowie dla nas młodych stało się bardziej szare.

Stanisław Sierosławski

Przybyszewski w Monachjum

Był to może najszczęśliwszy okres w życiu Przybyszewskiego. Teatry rosyjskie grały jego sztuki, co dawało mu niezły dochód. Występy Komisarzewskiej przynosiły specjalne tantjemy. Powieści jego były tłomaczone natychmiast na język rosyjski. Oryginały ukazywały się na półkach księgarskich w wydaniach „Gebethnera i Wolffa"; cykle „Mocny Człowiek", i „Dzieci Nędzy" przez tę firmę dostały się do rąk polskiego czytelnika. Z punktu widzenia interesów materjalnych Przybyszewskiego, wydania te były dla niego korzystne. Ileż książek jego wzięli za darmo lub za półdarmo wydawcy! Był popularny, modny, rozchwytywany, a nie mógł skromnych swoich wydatków pokryć z zarobków literackich. Urządzano więc na jego dochód audycje muzyczne, odczyty. Grał na takich wieczorynkach ulubionego Szopena, odczytywał nowe utwory, wygłaszał o innych pisarzach płomienne dytyramby.

W Monachjum wielkiego dostatku nie było, ale zawsze mógł Przybyszewski żyć z żoną spokojnie. Mieszkali na Schwabingu. Skromne trzypokojowe mieszkanko na parterze dużej, wielkomiejskiej kamienicy urządzone było schludnie, zacisznie. Obrazy polskich malarzy, kilimy, kilka rzeźb zdobiły wnętrze ich miłego mieszkania.

Przybyszewski miał kilku przyjaciół niemców, którzy go niekiedy odwiedzali (dr. Ludwig). Młodzież akademicka garnęła się do niego. Niemal rezydentem w domu p.p. Przybyszewskich był gośny poeta kroacki Josif Kosor. Kilka razy tygodniowo odwiedzał twórcę „Synagogi Szatana" młody hr. Krasiński. Stale towarzyszył red. Wł. Zabawski.

Niezapomniane wieczory spędzało się wtedy w gościnie u p.p. Przybyszewskich. Nie było myśli, idei, faktu naukowego, odkrycia, któreby nie znalazły w żywej wyobraźni autora „Dla szczęścia" reakcji. Interesowały go nauki przyrodnicze, astronomja, matematyka, jak „Listy zakochanej zakonnicy Marji d'Alcoforado", które czytał wzruszony.

Rewolucja na ziemiach polskich b. Kongresówki absorbowała go również: stał po stronie walczących. Wystarczyło mu, że walczyli, by oświadczyć się za nimi. Przeżywał wtedy ostry kryzys ideologiczny: burzył w sobie koncepcję sztuki dla sztuki. Ślady tej walki wewnętrznej znaleźć można w „Mocnym Człowieku" i „Dzieciach Nędzy". Wczytywał się w Mickiewicza.

Ranki często przesiadywał w bibljotece publicznej, po obiedzie chodził do Stephanie-kaffé". W kawiarni przy czarnej, herbacie, papierosie wywracano na nice wszystkie wielkości świata. Gdy przypadkiem w towarzystwie Przybyszewskiego znalazł się jakiś inteligentny młodzieniec, udający erudytę — zaśmiewaliśmy się z niespodzianek, z żartów. Przybyszewski potulnie słuchał wywodów o d'Annunziu, refrenowo powtarzając:

— Czyż być może? — Czyż być może?

Młodzieniec się zapalał w wywodach. Przybyszewski chytrze oponował:

— Czy się pan nie myli? O takim poecie, jako żywo, nie słyszałem...

— To ja panu przyniosę dzieła d'Annunzia....

— Dziękuję bardzo... Stracony czas... Nie lubię frazeologów, koturnowych komedjantów, ultra - kabotynów...

Młodzieniec wybałuszał oczy ze zdziwienia, a towarzystwo przy stoliku kawiarnianym rżało z żartów Przybyszewskiego.

Zapalał się w dyskusjach na tematy astronomiczne. Lubił ścisłą wiedzę sprowadzać do teorji wiotkich, jak wszystkie ludzkie sądy. Umiał na pamięć wiele formuł matematycznych. Operował niemi bardzo zręcznie, miażdżąc studentów astronomji, matematyki.

Niekiedy u p.p. Przybyszewskich odbywały się liczniejsze przyjęcia. Pewnego wieczoru przyszedł Kosor, objuczony młodem winem. Piliśmy za zdrowie wszystkich żyjących i umarłych poetów, wodzów, bohaterów. Minęła noc i dzień, następnego wieczoru uczta nie ustawała. P. Jadwiga była nieobecna w domu. Bawiła u córki w Zakopanem. Po libacji tej mieszkanie było, jak pobojowisko... Uczestnicy spali po kątach.

Przybyszewski przetrzymał wszystkich. Miał żelazny organizm. I pod tym względem był jednostką niezwykłą.

E. C.

PLAN WOBEC ROSJI

II

Było to w czerwcu tego roku, o 4-ej rano, na bulwarze Capucines, przed Grand Hotel'em. Nie świtało jeszcze i bulwar jeszcze w pełni nie zamarł: na spiętrzonem pobojowisku tarasu „Café de la Paix", wśród stert fikających, do góry nogami, krzesełek i wywróconych, na znak noclegu, stolików, wałęsały się jeszcze jakieś cienie, przycupnęły, jak na kamieniach przydrożnych, „hrabiny", w letnich futrach, nawołujące zmęczonym szeptem, beznadziejnie, dla zasady:

— Tu payes un „glass" beau blond?...

gdyż jest to jedna z konsekwencji wielkiej wojny, że w języku trotuarowym kieliszek się nazywa „glassem". Glass ten można było za stosowną przepłatą otrzymać jeszcze naprzeciwko, gdzie bar *The Hole in the Wall* świecił się, jak wąska rysa w murze; bar o osiemdziesięciu centymetrach fasady (zrozumiała oszczędność, gdyż w tym punkcie, pępkiem świata zwanym, komorne płaci się od bieżącego ...centymetra) i kiszkujący następnie dalej w jakichś piwnicznych zakamarkach....

Ale nie to jest ważne. Ważnym natomiast i doniosłym, zdolnym zaintrygować przenikliwego detektywa był fakt, że niżej podpisany przechadzał się o tej godzinie w kołnierzyku niezmiętym, świeżo ogolony, pachnący jeszcze mydłem i wodą kolońską. W każdym razie barman, który przecież widział wiele rzeczy w życiu, poczuł się zgoła zaalarmowany, gdy na zapytanie: „White Horse? Black and White? Half an half?... Manhattan?" odpowiedziałem mu obcesowo: kawa biała, bułki, masło!...

— Widzi pan, wyjaśniłem mu następnie, po raz pierwszy, bodaj że, czwarta rano nie jest dla mnie końcem ale początkiem. Ten świat o ponocnem zadymieniu przedstawia mi się zgoła inaczej, gdyż dopiero co wstałem, nastawiwszy budzik na trzecią rano...

— Nastawił pan budzik? — zdziwił się gentleman w białym smokingu — Czyż dzieją się rzeczy niezwykłe?...

— Mocno podejrzewam, że tak. W każdym razie muszę to wybadać...

W półgodziny później siedziałem w autobusie „Cidny", który, o tej niesamowitej porze, poławia napowietrznych podróżnych przed Grand Hotel'em. O szóstej nastąpił odlot z Bourget, via Strassburg, Norymbergja, Praga, do Warszawy... Tego samego dnia, zjadłszy śniadanie na bulwarze des Capucines, przechadzałem się, w końcu słonecznego popołudnia, po Krakowskiem Przedmieściu.

Zdecydowałem się na tę raptowną wycieczkę w przeddzień, wskutek długiej telefonicznej rozmowy z Londynem. Informacje, dość jeszcze mętne coprawda, które otrzymałem tą drogą, bardzo mnie zaniepokoiły, choćby dlatego, że paczyły one zgoła rezultat mych kilkomiesięcznych obserwacji i wywiadów politycznych. Wiadomości te streszczały się tak mniej więcej: Warszawa staje się kluczem angielskiej akcji anty - sowieckiej; wobec odpornego stanowiska rządu marszałka Piłsudskiego, angielski „intelligence corps" postawił sobie za zadanie zaostrzenie stosunków polsko - sowieckich aż do wywołania konfliktu zbrojnego, którego rezultatem będzie rozczłonkowanie Rosji i podzielenie jej na strefy wpływów; zabójstwo Wojkowa nie jest przypadkiem, lecz początkiem tej, waśń siejącej, akcji prowokacyjnej; zresztą Warszawa roi się od oficerów z „intelligence corps", którzy pod różnemi pretekstami (zjazdy lekarzy wojskowych, wilzyta w Gdyni) działają sprawnie i pchnęli Kowerdę do, owocnego politycznie, zabójstwa.

Szybując nad Francją, nad Bawarją, nad Czechami, Śląskiem i Polską, rozmyślałem z pewnem utrapieniem nad temi insynuacjami, tembardziej, że, jak już zaznaczyłem, były one w zupełnej sprzeczności z tem wszystkiem,, com mozolnie wyśledził w Londynie i w Genewie. Zwłaszcza podczas majowej konferencji gospodarczej nabrałem przekonania, że rząd Wielkiej Brytanji zgoła nie ma na myśli akcji zbrojnej przeciwko Związkowi rad i że jego plan opiera się na zupełnie innych podstawach.

Tymczasem z Moskwy, wszelkiemi drogami, szyfrem dyplomatycznym i kablem dziennikarskim nadchodziły wieści paniczne. Panowie komisarze wyrażali, dziesięć razy na dzień, przekonanie, że Anglja wypowie im wojnę i to oczywiście przy kontynentalnej pomocy Polski. Po wspomnianej telefonicznej rozmowie z Londynem zacząłem się poważnie obawiać, że ta rozbieżność poglądów na sytuację wypływa z bezsprzecznej rozbieżności władzy wykonawczej w państwie brytyjskiem. Niejednokrotnie, bowiem, miałem sposobność stwierdzić, że gdy Foreign Office opowiadał się za jedną polityką, oficerowie z „intelligence corps" działali na własną rękę, w zgoła innym kierunku. Widziałem to w Syrji. Istniało wtedy jak najdalej idące porozumienie między panem Arystydesem Briandem i Sirem Austenem Chamberlainem, a jednak, myszkując po zrewoltowanym Dżebelu Druzów, natrafiłem na decydujące dowody, że przywódca wojujących z Francją szczepów, Soltan el Attrache, zaopatruje się w broń i w złoto w Transjordanji u angielskich oficerów. Dlaczego?...

Dlatego, że korpus angielskich wywiadowców przedstawia siłę samoistną, finansowo potężną, po masońsku zakonspirowaną i stara się przeforsować własną politykę wszechangielską. W Syrji, naprzykład, drwi on z Briando-Chamberlain'owskiej całowaniny i pracuje uparcie nad zjednoczeniem wszystkich ludów arabskich w Azji pod berłem angielskiem. Narazie mu się to nie udało, ale w iluż innych momentach, na ważkich zwrotnicach światowych (widziałem to na własne oczy) korpus wywiadowców zwyciężył wbrew własnemu rządowi. W Egipcie zmienił króla, nad Bałtykiem stworzył Litwę i wreszcie, tryumf najkapitalniejszy, w Rosji obalił carat!...

Lloyd George wszak był temu przeciwny. Nie chciał on przeciągać wojny o kilka miesięcy, może o rok cały. Korpus wywiadowców jednak, będąc przekonany w początkach roku 1917-ego, że wobec współdziałania Ameryki wojna i tak będzie napewno wygrana, miał przedewszystkiem na myśli pozbycie się niewygodnego wspólnika i uniknięcie, w ten sposób, przy ogólnym rozrachunku, wygórowanej zapłaty, w postaci przyrzeczonych carskiemu sojuszniczemu rządowi cieśnin czarnomorskich.

Jakżeż prawdopodobnem być mogło zatem, że, wobec odrodzonej zaczepności bolszewickiej na wschodzie, „inteligence corps" wznowił, via Warszawa, swą tradycyjną wojnę anty - rosyjską?... To właśnie pragnąłem wybadać osobiście na warszawskim bruku.

Rozparłbym ramy tego artykułu, wchodząc w szczegóły. Powiem więc krótko, że przedewszystkiem, po dwutygodniowych badaniach, doszedłem do wniosku, że Kowerda działał zgoła samoistnie. Następnie, nabrałem przekonania, że je-

żeli korpus wywiadowców nosił się istotnie w Warszawie z planami antypokojowemi, zwróconemi przeciwko zamiarom własnego rządu, to te plany przepadły już w zarodku. Przyczyniło się oczywiście ku temu przeświadczenie, że rząd polski nie da się zmanewrować i nawet nie ulegnie ponęcie odwiecznej ekspansji swych wpływów na wschodzie. Zresztą moment ku temu był najnieodpowiedniejszy i angielscy obserwatorzy stwierdzili łacno, że punktem ciężkości polityki polskiej była skarbowość, to jest przygotowanie, napotykającej wówczas jeszcze spore trudności pożyczki stabilizacyjnej.

Słowem, dziś już, po pięciu zaledwie miesiącach, można spojrzeć na te, jeszcze zgoła zakulisowe, wypadki okiem historyka i stwierdzić, że trzeźwość polityki polskiej uratowała Europę, w roku pańskim 1927-ym, od tej groźnej niewiadomej, jaką jest awantura wojenna.

W początkach lipca wróciłem do Paryża i zastałem już atmosferę oczyszczoną od wojennych miazmatów, rozpuszczonych przez angielskich konspiracyjnych zwolenników antyrosyjskiej zbrojnej wyprawy. Na terenie pozostał tylko plan rządowy, plan Foreign Office'u i admiralicji. On to dzisiaj jest stosowany i rozwija się konsekwentnie.

Kto go wynalazł?... Powiem wam prawdę dość paradoksalną: podsunęli go sami bolszewicy. To towarzysze Sokolnikow i Osinskij, delegaci Z. S. S. R. na konferencję gospodarczą w Genewie, w maju tego roku, uwili z rozbrajającą naiwnością arkan, który obecnie Wielka Brytanja zaciąga na szyi moskiewskiego komunizmu. Po oddłubaniu, bowiem, zdawkowej frazeologji, przemówienia panów czerwonych delegatów na majowej konferencji streścić się mogą w tem rozpaczliwem zeznaniu:

— Pieniędzy, na Boga! Pieniędzy jaknajprędzej! Bez pieniędzy nie jesteśmy w stanie podtrzymać naszego deficytowego przemysłu. Bez pieniędzy staną nasze fabryki, bez fabryk nie będziemy mieli robotników, a bez robotników nie możemy mieć sowietów robotniczych i cały nasz ustrój, w szybkiem tempie, djabli wezmą!

Wezwanie to, jak mówią Francuzi, „nie wpadło w ucho głuchego". Nazajutrz policja angielska wtargnęła do lokalu sowieckiej misji handlowej i jednocześnie rozpoczęła się na całym świecie akcja, zmierzająca do zamknięcia przed nosem sowietów wszystkich „kranów" kredytu. Traty sowieckie przestano dyskontować w Londynie, w Nowym Jorku, w Amsterdamie, w Paryżu. By otrzymać gotówkę za bolszewicki weksel, trzeba było wędrować do zgoła już „parszywych" banczków, pobierających lichwiarską prowizję. Jednocześnie banki angielskie i „Royal Dutsh" z sirem Henrykiem Deterdingiem na czele, zaczęły wywierać nacisk w Paryżu, by nie dopuścić do międzypaństwowego franko - sowieckiego porozumienia w sprawie długów przedwojennych i do zaciągnięcia, na tej podstawie, nowych pożyczek. Nacisk ten zresztą był zgoła niepotrzebny, gdyż Francuzi nie byli na tyle naiwni, by się zgodzić na kombinację, przypominającą owe: „pożycz mi pan sto łotych, a oddam panu dwadzieścia z zeszłorocznego długu".

Zresztą w tymże czasie p. ambasador Rakowski tak się skompromitował, że po dwuch tygodniach kampanji prasowej zmuszony został do spakowania swych kufrów. Równało to się przecięciu wszelkich mostów pieniężnych między Francją a Sowietami.

Zdawać się mogło zatem, że Anglja dopięła swego, że finansowe oblężenie Związku Rad zostało dokonane i że można było spokojnie czekać na śmierć osaczonego, wskutek kredytowego zagłodzenia. Snać jednakowoż coś jeszcze szwankowało w tym systemie, gdyż mijały tygodnie i nic jakoś nie było słychać o osławionym „początku końca" komunizmu. Rząd sowiecki wciąż widocznie miał pieniądze na wspomaganie swej kosztownej wytwórczości przemysłowej. Zaczęto szukać tego złotodajnego źródła i znaleziono je — w Berlinie!...

Wyszło szybko na jaw, że Niemcy w ciągu ostatniego roku przemyciły do Rosji 300 miljonów dolarów amerykańskich.

W tem miejscu rozpoczęła się akcja, przypominająca t. zw. „extension" blokady podczas wielkiej wojny. Wtedy to nie można było np. zabronić Szwecji zaopatrzenia Niemiec w towary, ale, dla zakorkowania tej luki w blokadzie, zastosowano ją również wobec Szwecji, która wskutek tego znalazła się w ostatnich dwuch latach wojny w tak wyjątkowo ciężkich warunkach aprowizacyjnych.

I otóż widzimy dzisiaj, że Anglja, wpływając w tym kierunku na rynek finansowy Nowo Jorski (a są na to sposoby), rozciąga obecnie blokadę kredytową i na Niemcy, które oskarża o pieniężne przemytnictwo na rzecz sowietów. Tem to należy tłomaczyć ostatnie wystąpienie amerykańskiego kontrolera Gilbert Parkera w Berlinie, które równa się, w praktyce, zatrzaśnięciu przed niemieckimi pośrednikami pękatych kas zaoceanowych.

Zachodzi teraz pytanie: co z tego wyniknie? Co będzie z Rosją, tak szczelnie obecnie oblężoną pod względem finansowym?... Czy zamknięcie nie opartych na zdrowej zasadzie samowystarczalności fabryk sowieckich pociągnie za sobą istotnie zmierzch komunizmu?...

Tego oczywiście spodziewa się Anglja. Ale od biedy, kwitując z politycznych konsekwencji, zadowolni się ona metamorfozą Rosji na wielkie wiejskie gospodarstwo, wychodząc z zasady, że przemysł rosyjski jest deficytowym luksusowym absurdem. Rosja, w pojęciu polityków angielskich, powinna być tylko rynkiem, targowiskiem, na którem przynęta tańszych, lepszych, dostępnych towarów zagranicznych wzmoże produkcję rolną rynkiem i światową rezerwą surowców. Wtedy pono, gdy Rosja zamieni się w rozległą „wieś spokojną", kupującą angielskie towary, ma być wszystkim lepiej na świecie. Nad Wołgą łatwiej będzie o pług i bawełnianą kieckę, nad Tamizą zniknie bezrobocie i stanieje niedzielna bułka z rodzynkami. Taki jest plan, takie są marzenia John Bulla.

Henryk Korab - Kucharski

Paryż, w listopadzie.

GENERAŁ WŁOSKI, KTÓRY PISZE O SZTUCE W POLSCE



Generał Uberto Franchino, autor wydanej przez towarzystwo Cenobio w Medjolanie monumentalnej książki p. t. „L'Arte in Polonia" (Sztuka w Polsce), towarzyszy J. Kr. Wysokości, następcy tronu włoskiego, księciu Humbertowi w ostatniej jego podróży po Piemoncie. (1) Książę Humbert, (2) Generał Franchino

Narodziny „Ziemi Obiecanej"

Interesujące wspomnienia, zawarte w listach, a dotyczące powstania świetnej powieści Wł. St. Reymonta p. t. „Ziemia Obiecana", udało nam się otrzymać od p. M. Łaganowskiej, znanej dziennikarki. Niewątpliwie wzbudzą one zaciekawienie.

Łódź była ziemią obiecaną od lat wielu nietylko dla przyjeżdżających do Łodzi z taczkami, a wyjeżdżających z niej niemal własną lokomotywą konkwistadorów przemysłu — ale i dla wielu pisarzy polskich. Niewszyscy jednak umieli się uporać z tem mrowiskiem ludzkiem, żyjącem tęgą pracą, karmionem jedynem ideałem i celem życia — Miljonem. Tworzono na ten temat wiele nowel, pisał powieść łódzką zmarły Juljan Łętowski, pisał nieżyjący Kosiakiewicz „Bawełnę" — przechodziło wszystko bez wrażenia.

Aż pewnego dnia, jesienią roku 1895, stanął w jednej z największych fabryk łódzkich za warsztatem w roboczej bluzie młody, szczupły, średniego wzrostu z dużą płową grzywą, o niezwykle bystrem spojrzeniu robotnik, którego nikt nie znał, ale też i nikt pracy jego nie pilnował. Za tym warsztatem, stając rano do pracy, jedząc czarny chleb z towarzyszami, przeżył sześć tygodni pierwszego poczęcia „Ziemi Obiecanej" — Władysław Reymont. Praca ta pobudzała jego niezwykle żywiołową naturę; z nieznanem środowiskiem, które interesowało go bez miary — zżył się szybko, odczuł je i zrozumiał.

Z pełną głową wrażeń i teką notatek, żegnany z żalem przez grono przyjaciół łódzkich, pojechał do Paryża (w Warszawie pracować nie mógł), aby w małej miejscowości nieopodal stolicy, w Ouarville, tworzyć swą epopeję.

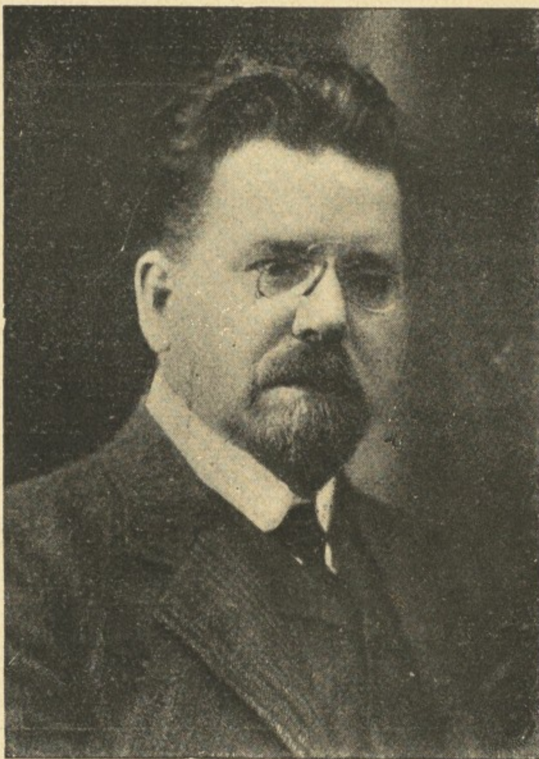
Łódź stała wówczas u zenitu rozwoju; roiło się w niej od bawełnianych królów, królików, książątek, baronów i hrabiów, niedostępnych i nietykalnych.

Pierwsze feljetony, drukowane w ówczesnym „Kurjerze codziennym", wychodzącym pod redakcją Tadeusza Czapelskiego, spełniły odrazu rolę kija w mrowisku. Zawrzało we wszystkich sferach, zaroiło się od domysłów i wymysłów, wskazywano palcami bohaterów powieści, spierano się; pomawiano grono przyjaciół łódzkich o udział w tych „paszkwilach". Każdy widział siebie, każdy czuł się dotknięty.

Jak się na te insynuacje zapatrywał autor; jak się rodził ów epos przemysłu, o chłodzie i głodzie, nierzadko w gorączce i chorobie?

W styczniu 1897 roku Reymont pisze do swoich przyjaciół łódzkich:

„Bardzo jestem ciekawy wrażenia, jakie robi moja „Ziemia Obiecana" w Łodzi, jeśli notabene robi; wieści o tem będą dla mnie cenną wskazówką przy pisaniu dalszego ciągu. Mam ją już całą gotową, ale przepisuję i kawałkami posyłam, a przepisując, zmieniam niesłychanie wiele, uzupełniam, oblekam właściwie szkielet w skórę i ciało"....



Wł. St. Reymont

Wkrótce, w lutym, otrzymawszy od nas odpowiedź, dziękował za nią:

„Proszę mi wierzyć, że nawet zupełne potępienie tej pracy i odsądzenie jej od wszelkiej wartości nie potrafi wytrącić mi pióra z ręki. Robię tak, jak w danej chwili robić mogę, krytyka ani poprawi, ani pogorszy. Rozumiem i spodziewałem sie sam naprzód najrozmaitszych zarzutów, a w szczególności spodziewałem się wytykania nieznajomości stosunków, jakby celem moim było przedstawianie tych łódzkich specjalnię stosunków, nie ich duszy, bo, gdybym wreszcie poznał owe stosunki i napisał taki protokół życia łódzkiego, najwierniejszy — wtedy by dopiero powiedziano: Pereat, to paszkwil! Moim zamiarem nie mogła być i nie jest zupełnie chęć kopjowania tamtejszego życia i ludzi, bo nie w tem leży zadanie i cel powieści. Ja używam tylko fabryki, ludzi, spraw, tonu, jaki się tam przewija przez życie — jako materjału, jako pewnego rodzaju odrębnej gliny, z której lepię swój świat, swoje kreacje, *swoją Łódź*".

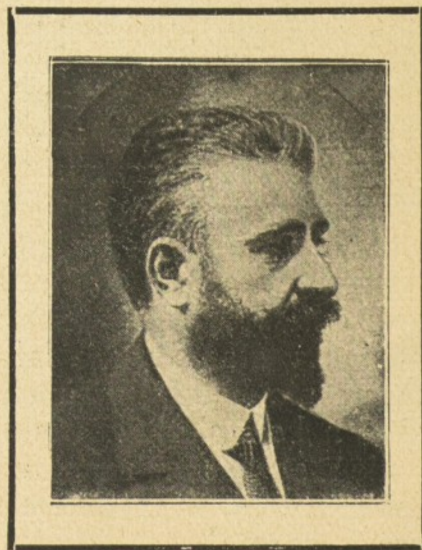
W marcu tegoż 1897 roku otrzymujemy wieści:

„Jestem zawalony robotą i robię ostatnią rewizję „Fermentów", no i piszę „Ziemię". Jej skończenie zaczyna być i dla mnie prawdziwą ziemią obiecaną; niestety bardzo daleko do tego. A truje mnie ona niemało z różnych przyczyn: raz, że cenzura już mi kilkakrotnie obszmelcowała niektóre sceny i zaczyna troskliwie ją czytać, a powtóre te rozmaite przykrości, jakie znoszę z jej powodu. Napisał ktoś do mnie z Łodzi list bezimienny, potężnie i niezbyt słodko mi wymyślający za Buchholtza i Szaję Mendelsona. Schowałem ów list do archiwów drogich pamiątek. Potem Redakcja mi pisze, że i do nich zwracały się pewne, bardzo niezadowolone łódzkie sfery, które uważają tę powieść dla siebie za szkodliwą. Cóż ja tym panom poradzę! Inaczej, aby im się podobało specjalnie, pisać nie będę... Dzisiaj znowu mi Redakcja pisze, że się irytują za zbytnie portretowanie niektórych osobistości. Tu już osłupiałem. Ja portretuję! ja daję portrety! Nie rozumiem nic. Uwierzycie mi, gdy powiem z zupełną otwartością, że *świadomie* nie daję tam ani jednego portretu osób mi znanych, *ani jednego!* Mogą być pewne życiowe szczegóły prawdziwe i takie są, a w drugiej części będą obficiej nawet, ale żywego ludzkiego profilu nie narysowałem ani jednego z modelów mi znanych..."

M. Łag.

(Dok. nast.)

ZGON ZNANEGO POLITYKA RUMUŃSKIEGO



Joan Bratianu, prezes ministrów rumuńskich, znany polityk i działacz spałeczny, zmarł w 63 roku życia w Bukareszcie. Zgon jego wśród sfer politycznych w Polsce wywołał głęboki żal. Ś. p. Bratianu był wiernym rzecznikiem sojuszu polsko-rumuńskiego.

TADEUSZ PRUSZKOWSKI

(a raczej: o tęsknocie za nowem malarstwem).

Może to nie sam tylko przypadek sprawił, że Związek Zawodowy Polskich Artystów Malarzy zainaugurował swój nowy lokal (przy Nowym Świecie 19) zbiorową wystawą prac Tadeusza *Pruszkowskiego*, profesora warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Może tak zadecydowało rozmyślnie *Fatum*, ażebyśmy przy pewnej dozie sprytu czy dobrej woli z naszej strony mogli w tym fakcie dopatrywać się znamiennego prognostyku: pierwszym wystawiającym swe dzieła artystą jest T. Pruszkowski, malarz z krwi i kości; nie pedant żaden ni teoretyzujący, beznadziejny poszukiwacz nowej formy, nie zimny kaligraf lub suchy doktryner, nie goniący za chwilową modą jakiś ....ista, który z wielkim nakładem pracy i całkowicie beznamiętnej cierpliwości, w myśl ścisłych zasad odpowiedniego ...izmu „konstruuje" swe malowidła — lecz właśnie *malarz* w pełnem i istotnem tego słowa znaczeniu, malarz dawnego raczej autoramentu.

Czyż nie oznacza to dobrego wróżebnego znaku, że nowy lokal artystyczny, którego tak bardzo potrzebowała Warszawa, służyć będzie przedewszystkiem malarzom prawdziwym, malarzom tego typu, którzy wierzą w słowa J. B. Chardin'a, iż: „artysta posługuje się farbami, ale maluje sentymentem, pasją"....?

A może to istotnie prognostyk, że po dłuższym okresie dekadencji szczerego malarskiego temperamentu, po długim mroku mozolnych abstrakcyjnych rozważań i daremnych pryncypjalnych sporów oraz geo - stereo - czy też plani - metrycznych eksperymentów, po tych wszystkich mechano - konstruktywistycznych zboczeniach zajaśnieje ponownie świt nowego malarstwa? Że znów, jak ongi przed stu właśnie laty we Francji, wystąpi na artystyczną widownię nowy jakiś Eugenjusz Delacroix, który śmiałemi pociągnięciami pędzla przekreśli wszelkie kanony skostniałych akademickich czy klasycystycznych zasad i pchnie całą sztukę malarską na nowe tory?

Obym był — prawdziwym prorokiem!

Jak zasady i problemy poetyckiej metryki i prozodji nie wyczerpują wcale istoty *poezji*, tak najbardziej nawet szczęśliwe rozwiązania zagadnień jedno - czy też wielo - płaszczyznowej kompozycji nie stanowią jeszcze malarstwa. Jeżeli się nawet nie ma nic od siebie w sztuce do powiedzenia, żadnej własnej wewnętrznej treści, która szuka wyrazu i uplastycznienia w barwie i kształcie, trzebaż mieć bodaj specyficzne *malarskie* na świat spojrzenie, na to, ażeby być rzeczywiście malarzem.

Mózg ludzki odnosi coraz to nowe tryumfy zwłaszcza w dziedzinie techniki. Wyobraźnia jednak i serce daremnie proszą się o szczery



Zuza. Tadeusza Pruszkowskiego

impulsywny wyraz, o krztę fantazji i poezji, bez których wszelkie uczucie zanika, bez których serce człowieka schnie i jełczeje zarazem.

I doprawdy: nigdy radość nie była tak daleka, jak w malarstwie naszem dni dzisiejszych, ani też wolność tak martwa!

Naiwnym a schorzałym doktrynerom „nowej" sztuki zdaje się, że skoro świat cały żyje w obecnej epoce pod znakiem techniki, to i malarstwo poddać należy prawom konstrukcji maszyny, bo... w automobilu, aeroplanie czy w radjoaparacie przejawia się genjusz ludzkiej myśli.

Wszakże czytamy w świeżo wydanej po polsku broszurce Alb. Gleizesa, że maszyny konstruowane przez człowieka są konkretnym wyrazem praw, rządzących światem fizycznym, praw, warunkujących formy. Dlatego (!) „twórczość artystyczna powinna być poddana *tym samym* warunkom. Aby stać się prawdziwą twórczością genjuszu ludzkiego, musi być posłuszna regule konstrukcji i odrzucić wszelką formę przejściową, znaną".

Jakgdyby nie było elementarnym i notorycznym faktem (wiadomym z historji sztuki i kultury całej ludzkości od najdawniejszych czasów) to — że sztuka jest zwykle odbiciem *całego* życia, a zawsze i nadewszystko: jego *uzupełnieniem!* Jakgdyby cyrkiel i matematyczne wzory mogły wyczerpać bez reszty całą treść ludzkiego ducha, zaspokoić wszelkie jego tęsknoty i jakgdyby zdołały „skonstruować" taki arcypotężny hymn — w kształcie, barwie, słowie czy dźwięku — na cześć radości życia, na jaki może się zdobyć jeno genjusz wyobraźni i uczucia.

Jakgdyby wreszcie nie było najistotniejszą potrzebą każdego żywiej bijącego serca przeżywanie w sztuce tego wszystkiego, czego *nie* znajduje w szarem i pospolitem życiu codziennem.

Obrazy T. Pruszkowskiego nie są ilustracjami jakiejś suchej, a priori, powziętej artystycznej doktryny, lecz są szczerym i bezpretensjonalnym przejawem prawdziwego talentu, są rzeczywiście malarskim czynem, bo Pruszkowski posiada właśnie owo niezbędne malarskie na świat spojrzenie.

Jako indywidualność malarska, pokrewny jest wielce Pruszkowski Konradowi Krzyżanowskiemu, który był jego mistrzem i przyjacielem. Ten sam rozmach i szeroki sposób prowadzenia pędzla, analogiczna gruntowna znajomość rysunku; nie kolorystyczna też strona stanowi główną jego obrazów zaletę.

Pruszkowski dba przedewszystkiem o plastyczność malowanego objektu, o jego charakterystyczny wyraz i o siłę tego wyrazu; operuje czysto malarskiemi walorami, pędzel jego chętnie przybiera tempo *allegro con brio*.

Patrząc na jego obrazy, odbiera się *przyjemne* wrażenie na myśl, z jaką *przyjemnością* i pasją ten artysta maluje; zapomina się nawet o tem, że ta ogromnie bogata jego zbiorowa wystawa, to owoc niebylejakiej pilności, pracy, wysiłku, zwłaszcza, że tyle w tych obrazach pokonywanych śmiało, czasem swobodnie, a czasem tylko dowolnie typowo malarskich trudności i zagadnień.

Stąd, à propos tej wystawy, owa dłuższa dygresja na aktualny temat antagonizmu konstrukcyjności mechanicznej z niepozbawioną poetyckiej fantazji malarskością.

Mieczysław Treter

Koń żołnierza i wodza

Zmieniają się wojny i zmienia się straszliwa ich władczyni — śmierć wojenna.

Dawniej wojownik ścierał się i umierał w boju bezpośrednim, w wielkiem podnieceniu, żywiołowo podobnem do wzruszeń napadającego lub broniącego się zwierzęcia. Bijąc się, czuł zbliska żar oddechu, wężową prężność członków nieprzyjacielskich, widział tuż blisko nienawistne, wykrzywione wściekłością oblicze, zadawał i odbierał ciosy, jak w upojeniu, ginął i zatracał się bez reszty w pędzie, w ruchu, w zmaganiu się walki. W szale zapomnienia, czasem dzikiej rozkoszy przekraczał granice niebytu.

Dzisiaj wojna jest inna, stokroć przeraźliwsza, stokroć okrutniejsza. I stokroć boleśniejsze są jej zmagania się i zgon na polu bitwy. Żołnierz spółczesny nie widzi prawie nieprzyjaciela, nie jest w stanie wyobrazić go sobie w transie niszczycielskiej wściekłości. Z trudem zmusza się, by nienawidzieć czarne punkciki, ledwie widniejące na horyzoncie...

Dla spółczesnego żołnierza wróg stał się bezosobowym. Często jest to błękit cudnego, słonecznego dnia, z którego szafirów jednak leci ku niemu niedostrzegalna, wciąż czyhająca groza nagłego zgonu. Wieszczą mu go nie ludzkie przekleństwa i wypominania, lecz wycia przelatujących w podobłoczu granatów, pękanie szrapneli, lub miły skądinąd szczebiot śmigających wokoło kul... Ale czasem przychodzi ona w głębokiem milczeniu i chyłkiem dusi niedostrzegalnym uściskiem spokojnego i ufnego człowieka. Jest to śmierć najstraszniejsza — śmierć gazowa. Ilość rodzajów tych tajemniczych śmierci mnoży się teraz bez liku: zmiażdżenie stopami żelaznych potwornych czołgów; porażenie piorunowemi prądami elektrycznemi; spopielenie fontannami ognia...

Jakże rzadko na żałosnych polach bojowych spotyka się teraz dusza z dusza, dłoń z dłonią, pierś z piersią człowieka?! Nadomiar dzisiaj żołnierz chodzi do boju w luźnym szeregu, a więc walczy i umiera samotny. O ileż więc musi on być bardziej posłuszny, niż dawniej w gromadzie, wewnętrznemu nakazowi obowiązku; o ileż silniej musi miłować to, co swoją piersią osłania i za co niesie życie w ofierze, niż dawniej, kiedy na pomoc dyscyplinie wojskowej w stanowczej chwili przychodził zwykły szał bojowy!

Prócz tego żołnierz dzisiaj, to nie jest ten dawniejszy, ćwiczony na turniejach i w ciągłych musztrach rycerz, który obrał za swój zawód umiejętność zabijania i gotowość zostania zabitym. Dzisiejszy żołnierz to przeważnie spokojny pracownik, oderwany przed chwilą od swej niwy lub swego warsztatu dla obrony ich przed zniszczeniem, dla uchronienia od gwałtu swego gniazda rodzinnego, dla zachowania swego niezależnego miejsca wśród ludzkości. Bardzo w nim mało zawodowego zapaśnika i zamiłowania do walki. Swoją niechęć do bitwy, do ran bolesnych, do kalectwa, do przedwczesnego niebytu musi przełamywać z szalonym bólem przez wewnętrzny nakaz obowiązku i rozsądku, dla których dyscyplina wojskowa jest jedynie słabą ramką....

Koń rycerski, wierny towarzysz bojów człowieka od najdawniejszych czasów, przeżywał podobne koleje. Dawniej, dobry bachmat był umiejętnie wybierany z całego stada, musiał prócz zalet cielesnych wykazywać wojownicze instynkta i talenty, musiał być odważny, zapalczywy, zły, gdyż w czasie zapasów bili się nietylko rycerze, lecz i ich konie. Podniecona do szału kwadryga niosła wojownika, czy chciał czy nie chciał, w szeregi nieprzyjaciela. Rumak bił, tłoczył, kopał, szarpał zębami spotykane na drodze zwierzęta i ludzi.

BIUST SŁYNNEJ ŚPIEWACZKI MURZYŃSKIEJ, KTÓRA ZMARŁA PRZED PARU TYGODNIAMI W LONDYNIE



Florence Mills. — Rzeźbiła Zofja Rosen

Dziś wśród tłumu koni wojskowych, często branych wprost od pługa, wyprzęganych z wozu lub bryczki, bardzo rzadkie są konie rycerskie, bitne i odważne. Wprawdzie w czasie ataków wszelkie konie ponosi stadne uczucie, jak ponosi ono i żołnierzy, lecz wypadki bezpośredniego starcia są rzadkie i koń wojskowy przeżywa na wojnie spółczesnej te same co żołnierz uczucia dręczącego oczekiwania śmierci, bez pociechy jednak zupełnie wzniosłego poczucia poświęcenia, jakie ma człowiek.

Bo koń linjowy w czasie ognia doskonale rozumie niebezpieczeństwo, boi się i jedyną dlań ulgą i pociechą w tym czasie jest obecność, pieszczota i opieka jego pana-żołnierza. Wzruszająca jest wprost nieraz jego ufność! Często parę słów otuchy uspokaja nerwowe drżenie członków konia i łagodzi jego śmiertelny niepokój. Dlatego to tak bardzo zżywają się na wojnie żołnierze ze swojemi wierzchowcami.

Konie wodzów noszą również na sobie odblask swojej epoki.

My, polacy, naród bohaterskiej konnicy, mamy cały szereg prześlicznych legend o wierzchowcach wodzów, o ich dumie, o bojowych czynach, o rycerskich instynktach, wreszcie o wzajemnem przywiązaniu do siebie koni i jeźdźców. Przypomnę choćby wzruszającą opowieść o siwku Czarneckiego, którego umierający wódz kazał przyprowadzić sobie do łoża, aby się z nim pożegnać.

Kasztanka Marszałka Piłsudskiego powiększa szereg tych ciekawych wizerunków. Przyznać trzeba, że była ona w znacznej mierze dzieckięciem swego wieku. Spokojna, łagodna, powołana raczej do sielskiej pracy i sielskich obyczajów, z trudem spełniała ciężkie obowiązki, jakie los jej narzucił na terenie obcym, ba, nawet wstrętnym. W czasie pochodu jeszcze było jako tako. Wprawdzie zachowywała się ona, z punktu widzenia wojskowego, niemożliwie: szła nie w nogę, zatrzymywała się, żeby uszczypnąć trawkę przydrożną, przechodziła na drugą stronę kolumny, kiedy zauważyła, że tam są smaczniejsze kwiaty, a niekiedy, korzystając z zamyślenia swojego pana, próbowała nawet zawrócić na łąki. Słowem, ku nieopisanemu zgorszeniu ułanów, wałęsała się jak „cywil - banda". Boju nienawidziła. Huk armat czynił ją smutną, a skoro znalazła się na linji obstrzału, świst kul wywoływał u niej śmiertelne poty, drżenie ciała, pę-

kanie zaś szrapnęli pozbawiało ją resztek rozsądku. Tej jej właściwości omało raz nie przypłacił Komendant życiem. Gdy w odwrocie z pod Polskiej Góry trzeba było przebyć łączkę szczególniej obstrzeliwaną przez Moskali, Kasztanka, po wybuchu nad nią kilku szrapneli, zupełnie oszalała, przestała słuchać ostróg i wędzidła, zaczęła nieprzytomnie skakać, kręcić się na miejscu, cofać... Komendant mógł być łatwo ugodzony jakim pociskiem — lub zostać wzięty do niewoli przez nadciągającego nieprzyjaciela. Z wielkim trudem udało się przeprowadzić ogłupiałe zwierzę przez pole śmierci.

Komendant jednak bardzo lubił Kasztankę i nie chciał jej za nic zmienić! Być może, był posłuszny podświadomemu uczuciu artysty, któremu przemawiał do serca dziwny i głęboki symbolizm tego naturalnego, żywiołowego lęku śmierci u zwierzęcia, opanowanego i kierowanego w bój, wraz z tysiącami posłusznych mu żołnierzy, przez jego nieulękłą duszę, żelazną wolę oraz mądre przekonanie, że wielkie szczęście oswobodzenia warte wielkiego cierpienia....

Wacław Sieroszewski

POWRÓT NA SCENĘ



P. Irena Regicz,

artystka teatru krakowskiego i lwowskiego, wraca na scenę, tworzy trupę objazdową dla Małopolski Wschodniej. Jeszcze w grudniu zacznie przedstawienia.

Drobiazgi teatralne

JAK DAWNO SIĘ MÓWI O UPADKU TEATRU?

Gdy przed kilku dziesiątkami lat zgryźliwi krytycy paryscy podjęli żałosne biadania nad upadkiem teatru, ówczesny administrator Komedji Francuskiej, znany powieściopisarz i historyk Juljan Claretie zwrócił uwagę Sarcey'a, że ta sprawa nie jest tak nowa, jak się niektórym Zoilom wydawała.

— Aby pana przekonać, mogę panu polecić kilka dzieł w tej materji. W r. 1769 wyszła w Paryżu książeczka p. t. „Upadek smaku w teatrze". W r. 1771 — „Upadek teatru i jego przyczyny". W r. 1807 — „Przyczyny upadku teatru" (Cailhava). W 1828 — „Uwagi o sztuce dramatycznej, o aktorach i o przyczynach upadku teatru" (Robillon). W r. 1841 — „Rozważania o przyczynach upadku teatru i sztuki dramatycznej we Francji" (Vallier). W r. 1842 — „Czemu przypisać należy upadek tragedji we Francji?" (Pierre Victor). W r. 1849 — „O upadku sztuki dramatycznej" (Marteau).

Od tego czasu publikacje o rzekomym upadku teatru tak zaczęły się mnożyć, że niepodobna ich wyliczać. A nieboszczyk, którego uśmiercano, wciąż żyje i nienajgorszem cieszy się zdrowiem.

DZIEWIĘCIOLECIE ROSYJSKIEJ REPUBLIKI SOWIETÓW: UROCZYSTOŚĆ W MOSKWIE



Manifestacja młodzieży

BANKIET W RESURSIE KUPIECKIEJ NA CZEŚĆ HISZPAŃSKIEJ PISARKI ZOFJI CASANOWEJ



Siedzą: (od lewej do prawej) pp. Iłłakowiczówna, Zofja Casanova, Nałkowska, Paulucci-Chludzińska, Br. Neufeldowa, stoją: pp. J. Kaden-Bandrowski, Podhorska-Okołow, Pełczyńska, Niklewiczowa (córka p. Casanovy), St. Krzywoszewski, F. Goetel, M. Treter, J. Herlaine i Boy-Żeleński Fot. Marjan Fuks

Z TYGODNIA

Polski Klub Literacki (Pen-klub) podejmował w Resursie Kupieckiej znakomitą poetkę hiszpańską, p. Zofję Casanowę, która, jak wiadomo, przed laty poślubiła prof. Wincentego Lutosławskiego. Zofja Casanowa cieszy się w swej ojczyźnie zasłużoną sławą i czcią. Rodacy obsypali ją najwyższemi zaszczytami. My, Polacy, mamy wobec niej wielkie długi wdzięczności. Jeśli Hiszpanja ma dokładniejsze wiadomości o Polsce, jeśli sprawa niepodległości polskiej znalazła na Półwyspie gorące sympatje, zawdzięczamy to głównie niezmordowanej akcji Casanowy, która wytrwale i umiejętnie interesów polskich w prasie madryckiej broniła, fałszywe wiadomości prostowała, o biegu spraw polskich trafnie informowała. Jakie były jej uczucia wobec Polski, najlepiej świadczy fakt, że wszystkie trzy jej córki stały się Polkami, poślubiły polaków i w Polsce mieszkają.

Jeden z naszych młodych poetów, który poświęcił się specjalnie studjom literatury hiszpańskiej, Janusz Herlaine w doskonale ujętem przemówieniu stwierdził, że na 18 tomów wybranych dzieł Casanowy w 17-u jest mowa o Polsce. Na skutek jej odczytu, wygłoszonego w Madrycie, wysłany został do rządu Sowieckiego w sprawie arcybiskupa Cieplaka adres, który, prócz licznych tysięcy podpisów, zyskał także akces 15 tys. sefardim - żydów z Marokka! Przypomniał również niezliczone artykuły w najpopularniejszych czasopismach madryckich, w A. B. C., w „La Nation", w „El Diario de la Marina", poświęcone Polsce. Przypomniał jej podróże po Hiszpanji, które były nieprzerwaną propagandą na rzecz Polski, a które wszędzie wywoływały entuzjazm. Ów odczyt „O wysokim duchu patrjotycznym i cierpieniach wiekowych Polski", wygłoszonym w auli uniwersytetu madryckiego, a który to odczyt tłum słuchaczy przyjął długo niemilknącemi okrzykami: — Niech żyje niepodległa Polska!

Zebranie w Resursie Kupieckiej miało charakter niezwykle serdeczny,—szlachetną atmosferę wdzięczności, szacunku i uznania.

. . . .

Dyrektor Departamentu Sztuki, p. Jan Skotnicki w mowie, którą wygłosił w Krakowie, poruszył sprawę „kryzysu teatralnego.. Sedno zagadnienia tego kryzysu tkwi według p. Skotnickiego w tem, że wojna dokonała ogromnego przewrotu w psychice publiczności, teatr zaś pozostał takim, jakim był przed wojną, i tem samem stał się obcy dla powojennej publiczności.

— Tego stanu rzeczy reżyser, dyrektor, aktor, autor nie chcą zrozumieć i oskarżają rząd i samorząd, że nie otrzymują pieniędzy na pokrycie deficytu pustych sal, oskarżają publiczność o zdziczenie, brak kultury, płytkość.

— Tymczasem rząd i samorządy łożą na teatr u nas w Polsce więcej, niż gdzieindziej, publiczność zaś nie jest bynajmniej ani płytsza, ani głupsza od przedwojennej. Przeczą takiemu mniemaniu dziesiątki tysięcy młodzieży ze wszystkich sfer, garnące się do wyższej kultury, przeczy temu każdy robotnik, wertujący w chwilach wolnych taką czy inną gazetę. Nie upadek kultury obniżył frekwencję teatrów, lecz tylko nieprzystosowanie się teatru do zainteresowań obecnej publiczności. Sprawy, które emocjonują tę publiczność, nie są bynajmniej błahsze....

O ile zarzut, skierowany przeciw autorom, że nie umieją się przystosować do psychiki publiczności powojennej, budzi pewne zastrzeżenia,— bo schlebianie gustom publiczności nie jest cnotą, do której należałoby zachęcać pisarzy,— innym argumentom p. Skotnickiego niepodobna odmówić słuszności. Polska wydaje na teatry za dużo w stosunku do innych potrzeb kulturalnych. Pretensje wszystkich miast i miasteczek do posiadania własnych teatrów są przesadne. P. Skotnicki pominął jednak najważniejszą przyczynę upadku teatrów i ich deficytów: sceny prowincjonalne są nad wyraz liche! Gdzież te czasy, kiedy zespoły lwowski i krakowski współzawodniczyły z warszawskiemi Rozmaitościami. Zespoły aktorskie są teraz przeważnie słabe, wybitniejsze

KOMISARZ AMERYKAŃSKI W BANKU POLSKIM



Ch. Devey zasiadł po raz pierwszy w swym gabinecie w Banku Polskim w Warszawie

siły wyemigrowały do Warszawy, dobór repertuaru przypadkowy, do twórczości polskiej nieufność, czasem wprost niechęć.

A stosunek krytyki prowincjonalnej do teatrów, jej poziom kulturalny, jej agresywność, wobec autorów polskich tak częsta napastliwość?...

Bardzo trafnie powiedział p. Skotnicki o kierownikach teatrów:

— ...Chcą gwałtem publiczności dawać to, czego ona sobie nie życzy, a potem narzekają na niepowodzenie...

. . . .

P. Artur Śliwiński poruszył sprawę wzniesienia w Warszawie nowego gmachu dla Opery. Jeśli chodzi o istotną sanację finansów naszych Teatrów Miejskich, — tylko tą drogą da się ona przeprowadzić. Dzisiejszy Teatr Wielki musi wykazywać znaczne deficyty, bo jego pojemność jest zbyt mała.

Koszt przedstawienia operowego jest tak znaczny, że w Teatrze Wielkim, przy wyprzedanej sali, rachunek wykazuje bardzo poważny deficyt. Zaś niepodobna podnosić cen biletów. Przeciwnie, należałoby je raczej obniżyć, przystosować do środków dzisiejszej publiczności. Bo niesłusznem jest mniemanie, jakoby publiczność nie chciała w Warszawie chodzić do teatrów. Stosuje się to może — w pewnej mierze — do zamożniejszej burżuazji. Natomiast szersze warstwy garną się do Teatrów Miejskich, wypełniałyby chętnie sale, gdyby im udostępniono ceny. Dowodem przedstawienia po zniżonych cenach dla Związków Zawodowych.

Gmach Operowy w Warszawie powinien zawierać od 2000 do 2500 miejsc. Teatr Wielki możnaby wówczas poświęcić wielkiemu repertuarowi, w Teatrze Narodowym — umieścić komedję, a szpetną budę, która nosi nazwę Teatru Letniego, spalić.

Gdzie powinien być wzniesiony gmach Operowy?

Właściwe jego miejsce, w Alei 3-go Maja, zabrano pod Muzeum Narodowe.

Odezwały się głosy, że Ministerjum Kolei nie będzie mogło długo pozostawać w gmachu przy zbiegu Alei Trzeciego Maja i Nowego Świata. Jest to pomieszczenie raczej tymczasowe. Dla Ministerjum Kolei wskazane jest miejsce tam, gdzie się mieści obecny dworzec Centralny, to jest czworobok między Aleją Jerozolimską, Marszałkowską i Chmielną. Plac narożny, w którym obecnie mieści się Ministerjum, byłby idealnym dla Opery.

Powiecie: ile trudności! jakie kombinacje! Zapewne. Warszawa jest tak fatalnie zabudowana, że przez długi czas trzeba będzie ciągle coś burzyć, i w tym względzie zawczasu powinien być plan wytknięty. Nowe gmachy reprezentacyjne powinny być obmyślone bardzo przezornie i starannie, aby już dla przyszłych pokoleń pozostały.

Zamierzenie na długą metę?

Teraz w Polsce nie ma zamierzeń na długą metę. Trzeba zawczasu podjąć wstępne, przygotowawcze prace. Być może zresztą, że znajdzie się inny plac, łatwiejszy do pozyskania. Była mowa o wydzieleniu kawałka Ogrodu Saskiego, u wylotu Marszałkowskiej...

W każdym razie inicjatywa jest rzucona. Energja i wytrwałość p. Artura Śliwińskiego pozwalają rościć nadzieję, że będzie uparcie walczył ze szkopułami, by swe projekty urzeczywistnić.

. . . .

— Takie są Rzeczypospolite, jakie ich dzieci chowanie!

Temi słowami Staszica apeluje Opieka Sądowa przy Sądzie dla nieletnich do społeczeństwa. Czy może być, aby w Państwie, które chce zająć poczesne miejsce wwielkiej rodzinie narodów kulturalnych, istniały — „dzieci niczyje", dzieci żyjące w zaułkach miast, jak dzika zwierzyna w gąszczach kniei? Tak dzieje się podobno w Rosji Sowieckiej. W Petersburgu, w Moskwie, — włóczą się po ulicach gromady zdziczałej dziatwy, która w dzień żebrze, nocą kryje się po pustkowiach, nie ma rodziców, ani krewnych, ani żadnych opiekunów... Dla Polski muszą być inne wzory. Oto W. Brytanja już przed dwoma dziesiątkami lat zaadoptowała swoje opuszczone i zaniedbane dzieci, — tam już niema „dzieci niczyich".

Lecz zanim to nastąpi, trzeba tym nieszczęśliwym przyjść z pomocą, ulżyć ich okrutnej doli, — trzeba dać im łyżkę ciepłej strawy, odzienie, chroniące przed zimnem. Zajrzyjmy do Sądu dla Nieletnich! Zobaczcie te młode, przez los wydziedziczone istoty, gdy je sprowadza policja, — zziębnięte, wychudłe, z pustemi nietylko żołądkami, ale sercami i głowami,—a nie oprzecie się głębokiemu wzruszeniu!

Oto zbliża się gwiazdka, dni radości dla dziatwy „szczęśliwie urodzonej". Niechże ci, co tę radość dawać będą, i ci, co ją będą odbierać, nie zapomną o nieszczęsnych wydziedziczonych. Składajcie datki, ofiarujcie odzież znoszoną, przyjdźcie z pomocą „Opiece Sądowej", która siedzibę ma przy Biurze Sądu Pokoju dla Nieletnich (Elektoralna 28).

skrz.

Z SALI ODCZYTOWEJ



D. Rajagopal, hindus, wygłosił odczyt o nauce I. Krishnamurti. Okultyści wysoko sobie cenią naukę tego bramina. Pani Besant zajmuje się propagandą jego talentów. D. Rajagopal jest również braminem. Pochodzi z południowych Indji. Należy do arystokracji swojej rasy. Skończył uniwersytet w Cambryge

---

SOFIA CASANOVA

Krople wody

Są krople wody, niby łzy promienne,
Co ledwo błysną — ulotnią się z oczu;
Są niby perły, co w morskiem roztoczu
Drgną—i wnet uschną w południe wiosenne.

Są krople wody, niby wieczne fale,
Co swym naciskiem kruszą halne stoki;
Co żłobią drogi podziemne — w głębokiej,
W nieprzeniknionej granitowej skale.

Dwie krople wody! Jakże niepodobne:
Jedna się rodzi i natychmiast ginie —
A druga czasów urąga lawinie
I kamienieje w urwisko żałobne.

Serca pieśniarza takie same dzieje.—
Chwilami płyną łzy przemijające
Które uśmiechu wnet osuszy słońce,
Albo je ciepłe rozlotnią nadzieje.

A są łzy takie, co płyną i płyną—
I których groza sięga ducha treści:
To stalaktyty ogromnej boleści,
Co wiecznie trwają i nigdy nie giną.

z hiszpańskiego tłumaczył
A. LANGE



Pierwsze posiedzenie nowej rady miejskiej w Kaliszu odbyło się dnia 17 b. m. z prezydentem miasta p. Szarassem × Fot. Engel w Kaliszu

Z MUZYKI

MŁODZI PIANIŚCI

W roku bieżącym usłyszymy prawdopodobnie na estradzie wybitniejszych przedstawicieli najmłodszego pokolenia pianistów polskich. Do produkcyj tych przywiązujemy większe znaczenie i stosujemy dość surową ocenę, a to ze względu, iż fortepian jest poniekąd naszym instrumentem narodowym. Po za fortepianem, zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat, pedagodzy nasi, czy to w dziedzinie skrzypiec, czy wiolonczeli, nie umieją, czy nie mogą wyprodukować uczniów na współczesnym poziomie wirtuozowskim.

Wostatnim tygodniu grało dwóch młodych pianistów: na estradzie Filharmonji: Jakób Gimpel, w sali Konserwatorjum w imprezie Markiewicza Roman Jasiński.

Gimplowi wyrządzono na zeszłorocznym konkursie Chopin'a dużą krzywdę, mimo bowiem pochwalnego listu nie dopuszczono do grania koncertu z orkiestrą. Na szczęście, życie jest zawsze o wiele mądrzejsze od zaplątanych wyroków profesorskich. Młody pianista lwowski zdobywa sobie coraz większe uznanie, zarówno za granicą, we Włoszech, Niemczech, Holandji, jak też i u nas w kraju.

Pianistyczny talent Gimpla rozwija się z żywiołową siłą. Technika tego 20-letniego wirtuoza zwycięża dzisiaj największe trudności instrumentu z niebywałą zaiste łatwością. Sądzimy, że najwdzięczniejszą dziedziną tego talentu będzie repertuar od Brahmsa aż do najnowszych kompozytorów. Zarówno w Straussie, jak w Skrjabinie wykazał młody artysta doskonałe poczucie stylu, ogromny rozmach, połączony ze świetną swobodą wykonania.

Roman Jasiński, który wystąpił na sali Konserwatorjum z własnym recitalem, powinien jaknajczęściej grać publicznie. Otrzaskać się jeszcze więcej z publicznością (znaczny postęp od zeszłego roku), pozbyć się „nerwów" i skrępowania wobec audytorjum. Dobry pianista zawsze ludziom śpiewa, nie sobie.

Technika p. Jasińskiego zaokrągla się coraz wszechstronniej. Jest rzetelną, nie daje usterek, choć jeszcze nie pozwala słuchaczowi nie pamiętać o technice. Przy częstszych występach minie to z pewnością, jak również nerwowa jeszcze nieco alteracja temp.

P. Jasiński od nikogo niczego nie może się już nauczyć, wszystko obecnie musi już brać od samego siebie. Jest dojrzałym artystą. Dojrzałość owa winna właśnie podsunąć mu więcej swobody przy budowaniu frazy, większą miękkość tonu i więcej samorodnej refleksji. Pianista ten, orjentując się bardzo konkretnie w stylach rozmaitych, chybia w stylu szopenowskim, grzesząc tu zbyt twardą dynamiką.

Mamy nadzieję słyszeć p. Jasińskiego w tym sezonie jeszcze kilka razy. Niczego mu już chyba nie brakuje, prócz właśnie pokonania pewnej sztywności w zetknięciu się z estradą.

jkb.

Konferencja Międzynarodowa Unifikacji Prawa Karnego

W bieżącym miesiącu odbyła się w Warszawie pod przewodnictwem prof. E. Stan. *Rappaporta* Konferencja Międzynarodowa unifikacja prawa karnego. Obrady Konferencji trwały od 1 do 5 listopada 1927. Na Konferencję przybyło liczne grono uczonych z państw europejskich. zajmujących się zagadnieniem kodyfikacji prawa karnego na tle jego unifikacji. W szczególności przybyli:. prof. Sasserath, prof. Braffort, adw. Jofé, adw. Van Parys (Belgja), prof. Cuello - Calon (Hiszpanja), sędzia Caloyanni (Grecja), prof. Roux (Francja), prof. Ferri, prof. Massari (Włoch), prof. Pella, prez. Jonescu-Dolj. sen. Pella, sędzia Kisielica, prof. Radulescu (Rumunja), i prof. Givanovitch (Jugosławja). Czechosłowację reprezentowali: minister pełnomocny poseł Girsa i radca prawny Visek.

Konferencja obradowała w 3 Komisjach, pod przewodnictwem: sędziego Caloyanniego, prof. Roux i prof. Sasseratha. Rozważano zagadnienia: prawa karnego międzynarodowego, obrony koniecznej i stanu wyższej konieczności, usiłowania i współdziałania. Referentem Generalnym był prof. Wacław Makowski, b. min. sprawiedliwości.

Oprócz uchwał merytorycznych, zatwiających powyższe kwestje, ustalono i powzięto odnośną uchwałę, stwierdzającą konieczność kontynuowania prac nad unifikacją prawa karnego przez utworzenie Instytutu Międzynarodowego unifikacji prawa karnego.



St. Rappaport

Uczestnicy Konferencji po jej ukończeniu udali się wraz z prezesem prof. E. Stan. Rappaportem i członkami delegacji polskiej do Wilna, gdzie spędzili jeden dzień.

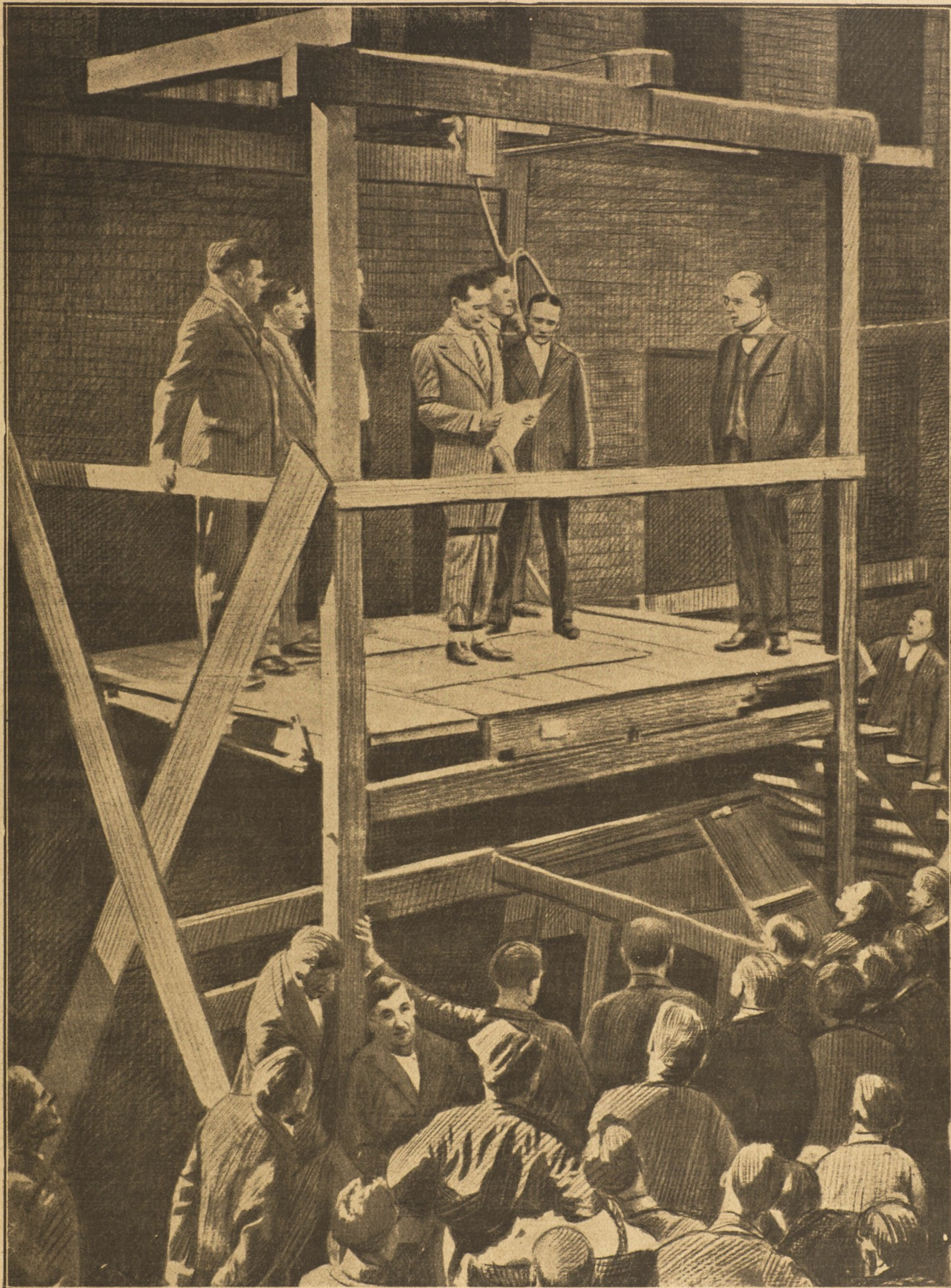
ZIĘĆ MIKADA Z MAŁŻONKĄ W WARSZAWIE



Dnia 25-XI wieczorem przybył do Warszawy syn b. cesarza Korei ks. Gen-Ri, wraz ze swą małżonką, księżną Masako. córką japońskiego Mikada. Parę arcyksiążęcą powitali na Dworcu Gł. przedstawiciele Poselstwa Japońskiego, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Towarzystwa Polsko-Japońskiego w Warszawie

Fot. Photo-Plat

AMERYKAŃSKI ZWYCZAJ: OSTATNIE SŁOWO SKAZAŃCA PRZED STRACENIEM



Rodo Millich, członek szajki bandyckiej, którego sąd w Illinois skazał na karę śmierci przez powieszenie za liczne rabunki, przed egzekucją odczytuje ostatnie słowo do obywateli: oświadcza, że jest niewinny. Po tem oświadczeniu natychmiast go powieszono. W Stanach Zjednoczonych naogół tracą skazańców na elektrycznem krześle

Na wielkim przełomie sezonów sportowych

Zmiana dam — Uchylenie zasłony zimowej — Przewrót majowy w sporcie — Impet i optymizm — Ważne posiedzenie Z. Z. — Kunsztowny system olimpijski — Racjonalna polityka.

Rok rocznie sport polski „przełamuje" się na dwa sezony: letni i zimowy. Ta zmiana „dam" jest u nas wyraźniejsza i bardziej radykalna, niż zagranicą. Nie mamy odpowiednich urządzeń, krytych hal, pływalni i t. d., w których uprawia się przez zimę ćwiczenia i gry sportowe, królujące w czasie letnim na zielonej murawie, bieżnie i korcie. Tenis, lekkaatletyka, kolarstwo i pływanie nie doznają zagranicą zbytniego uszczerbku w zimie.

U nas wszystko zamiera. Funkcjonują jedynie sporty od „urodzenia „zadomowione", jak boks, szermierka, strzelanie i ping - pong. Lecz nie są to sporty masowe! Uprawiają je jednostki i interesują się niemi również jednostki, — z wyjątkiem boksu. Cały punkt ciężkości w okresie zimowym przenosi się na „południe", t. zn. do Zakopanego. Sekundują mu dość słabo jeszcze Lwów i Krynica, trochę Bielsko.

Stolicą sportów zimowych jest jednakże Zakopane.

W tym roku „stołeczność" ta wzbogaci się hockeyem, który w najbliższym czasie przenosi pod Tatry swoje lary i penaty na cały sezon zimowy. Stolica Podhala przygotowuje się godnie na przyjęcie tego pięknego, wspaniałego sportu. Budują się dwa boiska hockeyowe, na których rozgrane zostaną wszystkie najważniejsze spotkania międzyklubowe, mistrzostwo Polski, wielkie międzynarodowe zawody, i „cały" trening przedolimpijski.

Zakopane wzbogaci się o jedną niewyzyskaną dotychchczas zupełnie na jego terenie gałęź sportów ślizgawkowych, posiadających u nas tak piękne tradycje.

Narciarstwo, najpiękniejszy sport na kuli ziemskiej, jak zgodnie przyznają zarówno przysięgli narciarze, jak i ci wszyscy, którzy choć trochę go spróbowali, przygotowuje się również całą parą do wielkich zadań, czekujących naszych najlepszych w St. Moritz i w kraju. W tym roku „rodzimy" majątek narciarski składać się będzie z czterech wielkich skoczni: dwóch w Zakopanem i po jednej we Lwowie i Krynicy, która buduje równocześnie boisko hockeyowe z wszystkiemi niezbędnemi urządzeniami, jak widownia, szatnie, oświetlenie elektryczne i t. d.

Uchyliwszy zimowej zasłony z oczekujących nas w najbliższym czasie rozkoszy śnieżno-mroźnych, musimy jednak rzucić jeszcze okiem na najbliższą letnią przeszłość sportową i zrobić mały rachunek sumienia z „czynów" dokonanych pomyślnie i niektórych, (jak zawsze w życiu) sfuszerowanych fatalnie.

Przedewszystkiem uderza w minionym „roku sportowym" wielki, żywiołowy rozwój wszystkich gałęzi sportu polskiego!

Bezpośredni wpływ na to ocknięcie z wieloletniego snu „fizycznego" miał bezwzględnie przewrót majowy i wszystkie jego tak zbawienne dla nas następstwa.

Państwo drgnęło i obudziło się do nowej przesuniętej o pewną ilość stopni rzeczywistości.

Sport będący jednem ze zjawisk najbardziej związanych z realną rzeczywistością odczuł na sobie bardzo silnie „uderzenie" nowej sytuacji. Zerwał się do życia! Ogólny optymizm „sił działających", poparty realnością subwencji i aparatem organizacyjnym P. U. W. F.: ośrodkami wychowania fizycznego, uderzył, jak potężny podmuch i oczyszczając zaśniedziałą atmosferę bezradności i beznadziejności, przewrócił wszystko do góry nogami.

Masy garną się do sportu, gdyż umożliwia się im treningi na budujących się z coraz większym „impetem" boiskach i stadjonach. Trenerzy lekkoatletyczni objeżdżają Polskę, budząc do życia ten najpożyteczniejszy sport po miastach i miasteczkach. Poznań wyszkala całe serje instruktorów rozpływających się jak fala ożywcza po całym kraju.

Na ostatniem zebraniu zarządu Związku Polskich Związków Sportowych dowiedzieliśmy się, że na inwestycje sportowe w nadchodzącym roku budżetowym przeznaczono poważną sumę 4.400.000 złotych! Organizują się nowe związki: Polski Związek Jeździecki, Związek Sportowo - Strzelecki i Gier Ruchomych. Agrykola będzie przekształcona na wzorowy park sportowy. Cały świat sportowy żyje pod hypnotycznym urokiem przyszłych Igrzysk Olimpijskich w St. Moritz i w Amsterdamie.

Polski Komitet Olimpijski, Państwowy Urz. Wych. Fizycz. i Minist. Spr. zagarnicznych, naoliwiwszy odpowiednio wielki wehikuł przygotowań olimpijskich, dolewają stale i umiejętnie oliwy do ognia zapału, który porusza ów wehikuł.

Ale bo też olbrzym ten rozrasta się do imponujących rozmiarów: lekkoatletyka, narciarstwo, piłka nożna, wioślarstwo, pływanie, boks i przedewszystkiem najbardziej umiłowany nasz pupil sportowy, benjaminek, szczególnie drogi po nowojorskich radościach, stara odwieczna, tradycyjna hippika!

Na nią liczymy, przedewszystkiem w niej pokładamy główne nadzieje.

Hippika „wywinduje" nasz sztandar na szczyt masztu olimpijskiego! W tej konkurencji liczymy na zwycięstwo i musimy zwyciężyć! Chyba, że znowu moce piekielne w postaci pecha i tak dobrze nam znanej tremy, wobec wielkiej, pompatycznej konkurencji międzynarodowej, spłatają jakiegoś figla, jak to nieraz już bywało!

Władze sportowe po doświadczeniach paryskiej olimpjady zastosowały zupełnie inną taktykę. Nie wysyłamy do Amsterdamu wszystkiego, co żyje i chciałoby jechać. Nie chcemy powtarzać kompromitującej sytuacji, gdy zawodnicy polscy znajdywali się we wszystkich prawie konkurencjach poza nawiasem, bez głosu, bez szans, wogóle bez niczego...

Obesłane będą te działy, których barwy polskie mogą dojść do pół i ćwierć finałów.

Dotyczy to przedewszystkiem sportów zimowych (narciarstwo, hockey), następnie: lekkaatletyka, piłka nożna, kolarstwo, wioślarstwo.

Beznadziejnie przedstawia się sytuacja w boksie i pływaniu.

Ustanowione przez Polski Związek Pływacki normy dla zawodników wysłanych na koszt Komitetu Olimpijskiego są zdaje się niedoścignionem marzeniem dla naszych mistrzów. Bo porównajmy tylko: na 100 m. styl dowolny „potrzeba" 1 m. 9 s., a obecny rekord polski Kuncewicza stoi jak mur na 1 m. 12.5 s. Im dłuższe dystanse, tem większe różnice. Na 400 m. st. dow. minimum wynosi 5 m. 45 s., a mamy 6 m. 11 s. Na 1500 — 23 m. 50 s. — 25 m. 29 s. W konkurencji pań odległość między marzeniem olimpijskiem a rzeczywistością „krajową" jest jeszcze większa np.: 100 m. st. dow. 1.22 — 1 42.6! 400 m .st. dow. — 6.50 — 7.54.2.

Żelazne, niewzruszone klauzule w postaci minimów są jedynem racjonalnem rozwiązaniem naszej polityki olimpijskiej.

Zawodnicy, przygotowujący się do igrzysk, wiedzą, czego się od nich wymaga. Wyniki cenzuralne są świetnym doppingiem do pracy, której program i rozkład ma swój jasny i logiczny sens i cel.

Bardzo być może, że sito minimów obetnie polską reprezentację do kilku osób, lecz, ci, co pojadą, swoje zrobią, i nie skompromitują nas. Do polityki tej przyłączył się zupełnie słusznie Zw. Pol. Zw. Sp. który wprowadził bardzo pożyteczną klauzulę dla drużyn i zawodników wyjeżdżających zagranicę. Dla uniknięcia wyjazdu słabych zespołów i poszczególnych reprezentantów obniżających tem samem prestige polskiego sportu, wszyscy wyjeżdżający, a chcący korzystać z ulg paszportowych, subwencji i poparcia dyplomatycznego uzyskać muszą poprzednio opinję Z. Z. i aurobatę Państw. Urz. Wych. Fiz.

Oto racjonalna polityka!

R.

ZGON SYNA PREZYDENTA

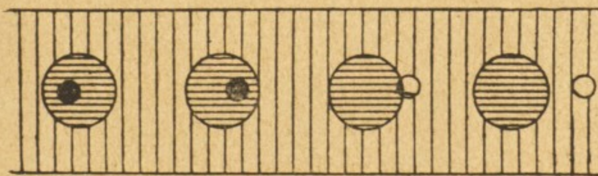


Dnia 23 b. m. zmarł inż. Franciszek Mościcki, syn p. prezydenta, ukończywszy zaledwie 27 lat. Ś. p. inż. Mościcki zostawił żonę, którą poślubił kilka miesięcy temu

Zaćmienie księżyca

Ostatniem z tegorocznych zjawisk astronomicznych, widzialnych w Polsce, będzie całkowite zaćmienie księżyca w dniu 8 grudnia r. b. (częściowe zaćmienie słońca dnia 24 grudnia widzialne będzie jedynie na Oceanie Antarktycznym).

Zjawisko zaćmienia księżyca znane było już w bardzo odległej starożytności. Najstarszy z pomiędzy znanych nam pomników astronomicznych, który zawdzięczamy Chaldejczykom, zawiera obserwacje trzech zaćmień księżyca, dokonane w latach 720 i 719 przed Nar. Chr.; obserwacje te zużytkował Ptolomeusz w swojej teorji księżyca. Zaćmienie księżyca, jak ogólnie wiadomo, zachodzi wtedy, gdy w pewnej chwili ziemia staje na drodze między słońcem a księżycem, który pogrążając się wtedy w stożku cienia, odrzuconego przez ziemię, ulega zaćmieniu. Pierwszym więc warunkiem zaćmienia księżyca jest, żeby księżyc był w przeciwstawieniu, czyli opozycji ze słońcem, co odpowiada fazie pełni. Jednak nie w czasie każdej pełni zachodzi zaćmienie księżyca, gdyż księżyc mija zazwyczaj cień odrzucany przez ziemię, przechodząc powyżej lub poniżej cienia. Przyczyną tego jest pochylenie drogi księżyca do płaszczyzny ekliptyki, t. j. drogi ziemi wokoło słońca, wynoszące 5° 8,5, a w płaszczyźnie ekliptyki leży cień kuli ziemskiej. Stąd wynika drugi warunek możliwości zaćmienia księżyca. Księżyc musi w czasie pełni znajdować się w płaszczyźnie ekliptyki albo w jej pobliżu, a ponieważ punktami przecięcia drogi księżyca z ekliptyką są t. zw. węzły, więc księżyc musi znajdować się w pobliżu jednego z węzłów albo w samym węźle. Zaćmienia księżyca bywają całkowite i częściowe. Gdy księżyc pogrąża się w stożku półcienia, zachodzi zaćmienie częściowe, gdy zaś wchodzi w stożek pełnego cenia, ma miejsce zaćmienie całkowite. Jeżeli w czasie pełni odległość księżyca od węzła jest mniejsza, niż 4°5', to musi zajść całkowite zaćmienie księżyca, ale zajść jeszcze może nawet przy odległości 5°29'; zależy to od wielkości promienia koła cienia w odległości księżyca od ziemi; wielkość ta zmienia się wraz z odległością ziemi od słońca i księżyca od ziemi. Jeżeli odległość księżyca od węzła jest w czasie pełni mniejsza, niż



Zaćmienie księżyca

9°10', to musi zajść przynajmniej częściowe zaćmienie księżyca, ale zaćmienie częściowe możliwe jest jeszcze przy odległości 12°32' księżyca od węzła. Gdy odległość od węzła przekroczy tę granicę, zaćmienie księżyca jest już niemożliwe. Aby księżyc mógł ulec zaćmieniu przez pogrążenie się w stożku pełnego cienia, musi odległość od ziemi być mniejsza, aniżeli wysokość tego stożka. Średnia odległość wierzchołka stożka pełnego cienia od środka ziemi jest równa 222 promieniom równika ziemskiego, że zaś średnia odległość księżyca od ziemi wynosi 60 promieni, więc księżyc może się pogrążyć w stożku pełnego cienia. Zaznaczyć przytem należy, że promień koła przecięcia stożka płaszczyzną prostopadłą do jego osi w odległości drogi księżyca od ziemi wynosi 0,73 promieni, a promień księżyca równa się 0,27 promienia równika ziemskiego. Księżyc może więc całkowicie pogrążyć się w cieniu. Zaćmienie księżyca jest zjawiskiem, które zaczyna się i kończy jednocześnie dla wszystkich miejscowości ziemi. Jest ono widzialne jednocześnie na całej półkuli, dla której księżyc jest nad poziomem w czasie zaćmienia. Obserwując zaćmienie od samego początku, spostrzegamy, że wschodni brzeg księżyca staje się mniej jasnym; to lekkie przyćmienie jest spowodowane przez półcień ziemi, stopniowo przechodzący w pełny cień, w który księżyc zanurza się przy zaćmieniu całkowitem. Początkiem zaćmienia jest chwila, w której księżyc styka się ze stożkiem cienia ziemskiego, wchodząc do niego, końcem zaś chwila takiegoż zetknięcia przy wyjściu z cienia. Gdy księżyc pogrąża się w stożku półcienia, jasność jego prawie się nie zmniejsza. Dostrzegalne zaćmienie księżyca zachodzi dopiero wówczas, gdy pogrąży się on w stożku pełnego cienia, ale i wtedy, w czasie całkowitego zaćmienia, księżyc nigdy nie znika: owszem jest widoczny, i wydaje się wtedy, jakby przykryty gęstym woalem i posiada barwę brunatno-czerwonawą. Że księżyc w czasie całkowitego zaćmienia jest widoczny, powoduje to załamanie promieni słonecznych w atmosferze ziemskiej, które załamując się, częściowo oświetlają księżyc (refrakcja astronomiczna), kolor zaś księżyca w czasie całkowitego zaćmienia pochodzi wskutek pochłaniania przez atmosferę wszystkich promieni słońca z wyjątkiem promieni o najdłuższej fali, czyli czerwonych (absorbcja atmosferyczna).

Czas trwania zaćmienia jest tem dłuższy, im księżyc jest bliższy węzła, gdyż tem większą drogę przebiega środek księżyca wewnątrz koła cienia.

Jeżeli węzeł znajduje się w samym środku koła cienia, to księżyc przebiega drogę najdłuższą, mianowicie średnicę tego koła. Zaćmienie wtedy nazywa się centralnem i trwa najdłużej. Czas trwania zaćmienia centralnego dochodzić może do trzech godzin. Naogół bywają dwa lub trzy zaćmienia księżyca rocznie, z nich conajmniej jedno całkowite.

Dane, dotyczące całkowitego zaćmienia księżyca w dniu 8 grudnia, są następujące:

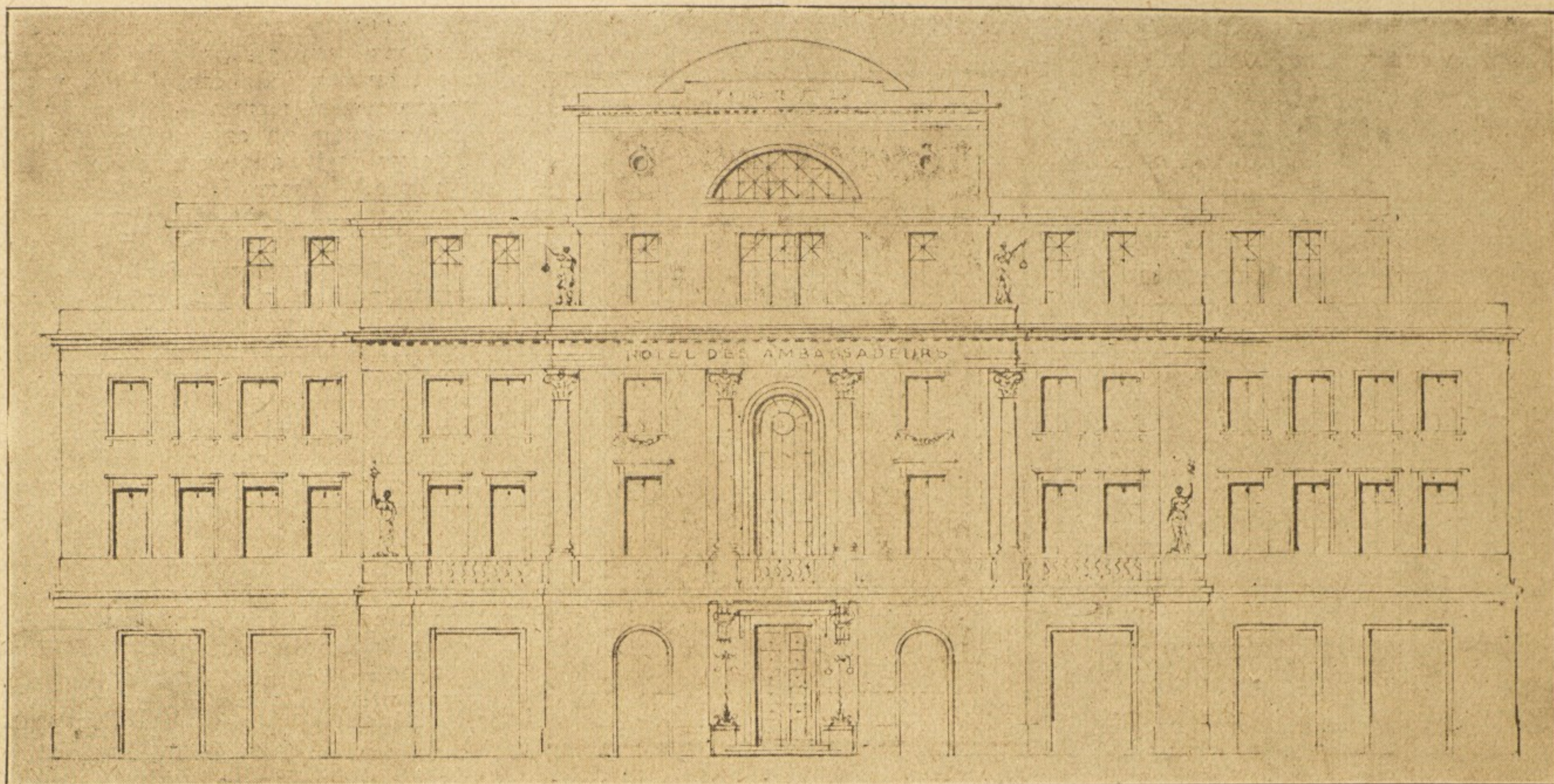
	Czas śred. europ.
Księżyc wchodzi w półcień	o g. 15 m 53,0
Księżyc wchodzi w cień	o g. 16 m. 51,9
Początek całkowitego zaćmienia	o g. 17 m. 54,5
Środek zaćmienia	o g. 18 m. 34,6
Koniec całkowitego zaćmienia	o g. 19 m. 14,9
Księżyc opuszcza cień	o g. 20 m. 17,7
Księżyc opuszcza półcień	o g. 21 m. 17,2

Kąt pozycyjny wejścia 62°

Kąt pozycyjny wyjścia 275°

Wielkość zaćmienia = 1,358 średnicy księżyca.

Prof. Aleksander Kochański



Projekt drugiego budynku mającego stanowić całość z budynkiem wykończonym

NA NOWYCH SZLAKACH ROZROSTU NASZEJ STOLICY

Jest w Warszawie dzielnica, w której zapomnieć można na chwilę o ciągłych utyskiwaniach na głód mieszkaniowy, zastój budowlany, brak kapitałów i inicjatywy.

Wszystko chełpi się tu białą świeżością swych murów, drwi sobie z przysłowiowej ciasnoty wielkomiejskiej, bo wysokie, wielopiętrowe domy są tu rzadkością niemal, a kokieteryjne, z widoczną pretensją do architektonicznej wartości, budowane, niewielkie, dwupiętrowe przeważnie domy - pałacyki luźno rozrzucone są po obszernej przestrzeni.

Dzielnica ta powstała z amerykańską wprost szybkością w ciągu ostatnich paru lat, w okresie najcięższej, powojennej stagnacji.

Kiedyś będzie to najwykwintniejsza, najbogatsza część Warszawy, a dziś już widzimy najważniejsze jej zarysy, które ulicę Górnośląską łączą z naszemi Polami Elizejskiemi — Aleją Ujazdowską, spadają lekko ku ulicy Rozbrat i Czerniakowskiej, obejmują szeroką połać wolnych jeszcze lub nieodpowiednio zużytkowanych terenów, a w niedalekiej zapewne przyszłości przerzucą się szeroko i daleko aż hen, ku Wiśle, aby stąd wyciągnąć władcze ramiona swych mostów i drugi brzeg rzeki wpleść w jedno wielkie kolisko polskiej stolicy.

Jest to zdrowy instynkt, który właśnie w tym kierunku popycha rozwój Warszawy. Miasta, które miały odegrać pewną rolę, powstawały zawsze nad rzekami i rozbudowywały się wzdłuż ich brzegów, zapewniając sobie jednocześnie szerokie możliwości rozrostu w obie strony.

Budując w tak szybkiem tempie ulicę Górnośląską, Warszawa stworzyła sobie nowy piękny wylot ku swej rzece, otworzyła sobie szeroką drogę do racjonalnego rozwoju, którego przyśpieszone tempo nigdzie może nie wyczuwa się tak wyraźnie, jak właśnie w tej dzielnicy.

A nie są to już dziś jakieś symboliczne zygzaki małych domków, któremi zazwyczaj znaczy miasto swój zwycięski pochód naprzód. Obejmowanie przez stolicę nowych terenów zaznacza się tu odrazu wielkimi, planowo rozmieszczonymi gmachami. Już dziś stanął tam prawie zupełnie wykończony jeden z najpiękniejszych i najokazalszych kościołów o wieży, której łuki przewyższać będą wieżyce Świętego tumu częstochowskiego. Już dziś imponuje tu swą okazałością i doskonałem przystosowaniem do swego przeznaczenia gmach nowego gimnazjum o wielkich oknach i szerokiej przestrzeni, jaka go okala. Jakże inaczej wyglądają dawne nasze lokale szkolne i jakże szczęśliwa będzie nasza młodzież, która w *takiej* polskiej szkole pobierać będzie naukę!

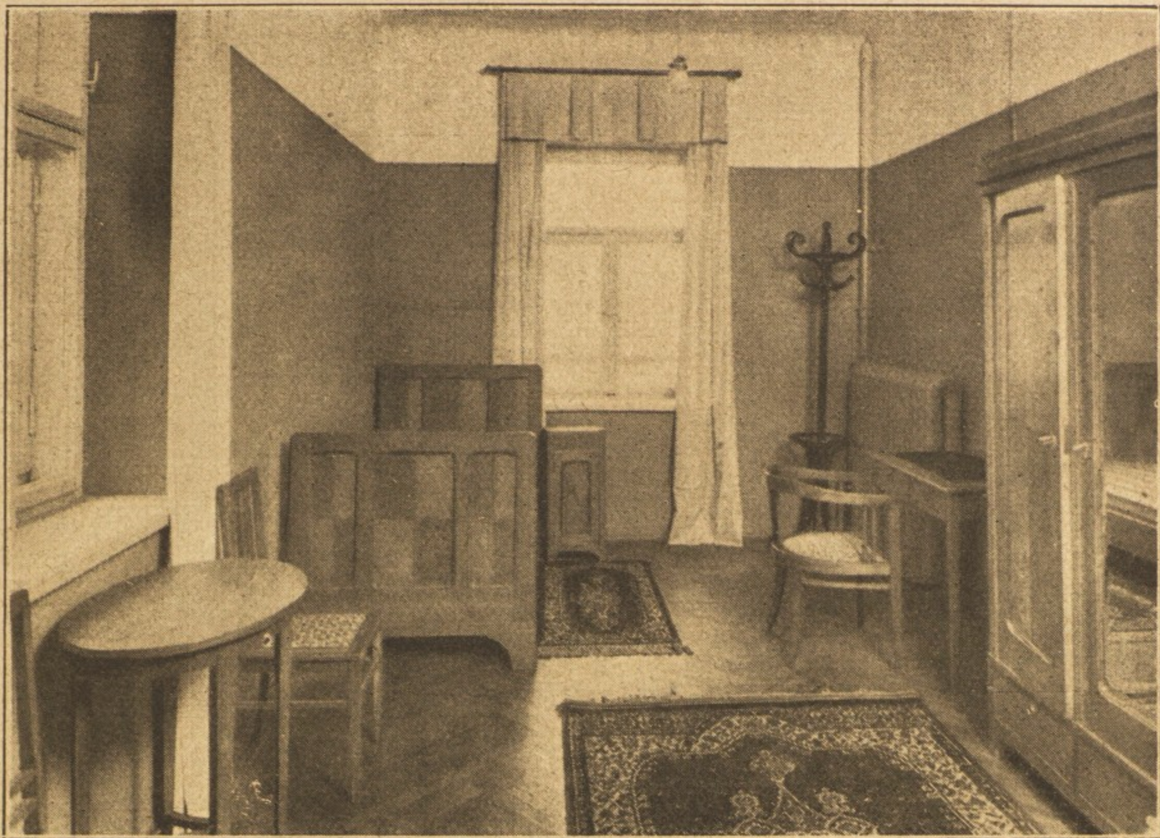
Już tych kilka nowych budowli, które obecnie wznoszone są przy ulicy Rozbrat, a niebawem liczba ich podniesie się znacznie, gdyż właśnie w tej dzielnicy projektowane jest wzniesienie całego szeregu państwowych gmachów reprezentacyjnych, dają wyobraźnię o przyszłym wyglądzie tej godnej siostrzycy i sąsiadki ulicy Górnośląskiej.

Ale jednocześnie z tymi wysiłkami władz państwowych i miejskich w tej budzącej się dzielnicy dochodzić zaczyna do głosu i inicjatywa prywatna.

Pierwszy impuls dał jej znany przemysłowiec, Stanisław hr. Ledóchowski. Wyczuł on, iż



Fragment korytarza Fot. W Złakowski



Wnętrze pokoju Fot. W. Złakowski

ulica Przemysłowa, która niegdyś odpowiadając swej nazwie, była skupieniem fabryk i zakładów przemysłowych, wciągnięta w orbitę rozwojową stolicy stracić musi pierwotny swój charakter. Że stawszy się poważną arterją życia i ruchu, dalej ku krańcom miasta wypchnąć będzie musiała swe warsztaty pracy.

Wychodząc z tego założenia, hr. Ledóchowski postanowił usunąć z całego kompleksu należących do niego budynków rozmaite przedsiębiorstwa fabryczne, a zdrowe, krzepkie ich mury przerobić na jeden, wielki dom mieszkalny.

Teoretycznie zadanie było racjonalne i proste. Praktycznie nastręczało ono trudności, przed którymi cofnąłby się niejeden. Ale hr. Ledóchowski planowo przystąpił do pracy i zapewniwszy sobie tańszy od naszego kredyt zagraniczny, przystąpił do konsekwentnego przeprowadzenia swego projektu.

Nie spuszczając z oka całości planu, zabrał się najpierw do przeróbki jednego budynku, który jednak wytkniętymi już korytarzami połączy się z innymi i w kilka miesięcy zbudował, wykończył i z wykwintem umeblował 62 pokoje, które obecnie są już wynajmowane, w najbliższej przyszłości będzie ich miał 112, a gdy cały gmach zostanie przekształcony, rozporządzać będzie liczbą 320 pokojów, 80 wanien, nie licząc sal czytelnianych, bibljotecznych, jadalni i t. p.

Hr. Ledóchowski mawia często z uśmiechem, iż pomysłem swym wyprzedził on rozwój wypadków, gdyż właściwą jego koncepcją było stworzenie w tej nowej dzielnicy wielkiego, wzorowanego na zagranicy hotelu. Rozumie on jednak, że do posiadania go podrosnąć musi dopiero cała dzielnica.

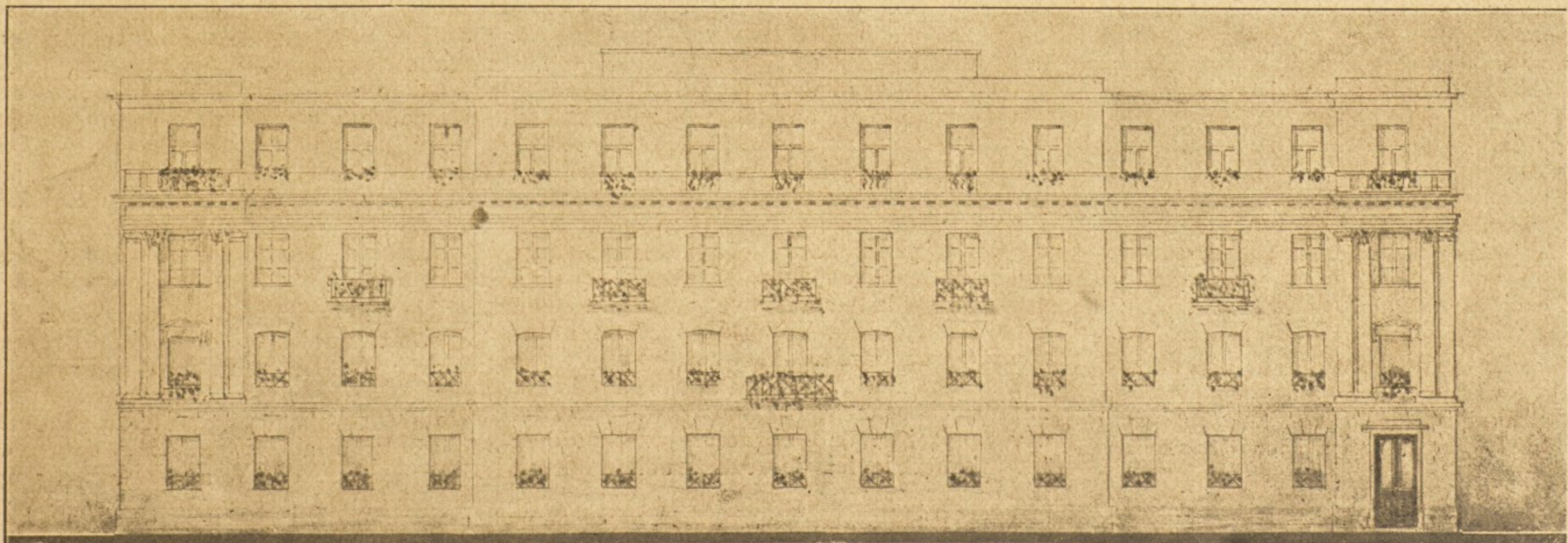
Z drugiej strony, zdając sobie sprawę z istotnej potrzeby stolicy, poczuwał się do obowiązku przysporzenia Warszawie kilkudziesięciu czy stukilkudziesięciu pokojów mieszkalnych.

A są to rzeczywście mieszkanka, o jakich dotychczas marzyć nie było wolno w Warszawie rzeszy nieszczęśliwców, skazanych na tułanie się po tak zwanych „pokojach przy rodzinie".

Umiejętnie wykreślone z całości budowy, regularne w swej formie, pełne światła i powietrza, a w dodatku umeblowane z wyszukanym smakiem, który potrafi dostosować każdy szczegół do pewnego zasadniczego tonu, pokoje te dawać będą swym mieszkańcom maximum wygód i komfortu, jakich wymagać można od tego rodzaju mieszkania. Aby pokazać, że nawet w trudnych warunkach, można tworzyć dzieła, zakreślone na szeroką skalę i aby zachęcić nasze sfery finansowe do wkroczenia na tory tak przekonywująco wytknięte przez hr. Ledóchowskiego podajemy kilka zdjęć z fragmentów przerobionego już gmachu. Dają one dostateczne wyobrażenie o tem, czem będzie on z chwilą gdy całe dzieło zostanie wykończone.

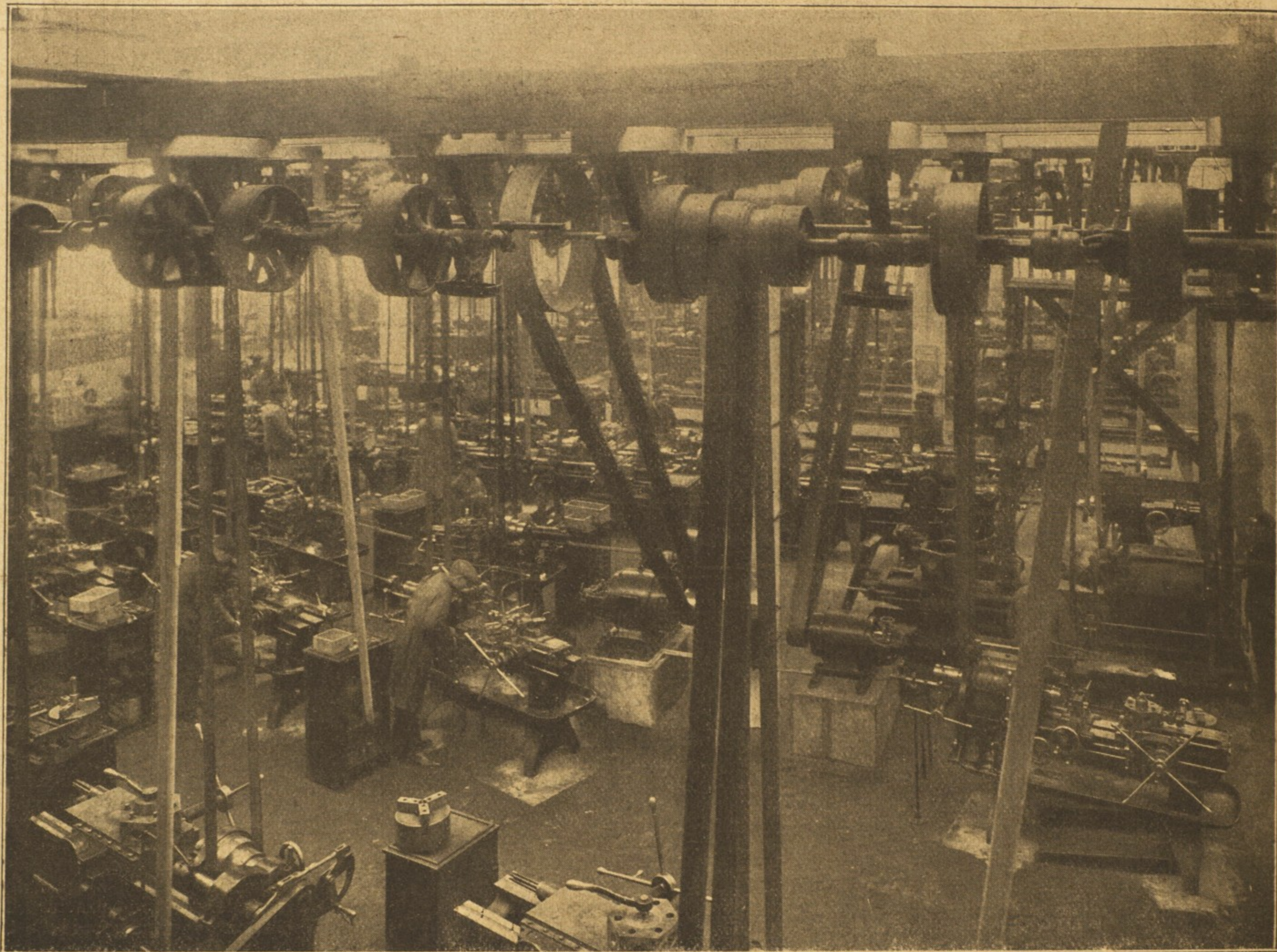
Wszystkie te poczynania zarówno władz państwowych i samorządowych, jak i prywatnych jednostek są jakoby jaskółkami, zwiastującymi bliski już moment zbudzenia się życia w nowej komórce organizmu wielkiego miasta, jakim stać się musi w niedalekiej już przyszłości polska stolica.

St. Gacki



Widok fasady domu dochodowego hr. Ledóchowskiego

Polskie Zakłady Skody S. A. w Warszawie



Fragment lasu pasów transmisyjnych Zakładów Skody na Okęciu — Fot. Marjan Fuks

Faktem pierwszorzędnego znaczenia w wewnętrznem życiu Polski, który odbił się rozległem, donioslem echem po całym naszym kraju, niewątpliwie zaś wywarł niemałe wrażenie zagranicą, było poświęcenie i otwarcie pierwszej wielkiej polskiej wytwórni silników lotniczych założonej przez Polskie Zakłady Skody S. A.

Sama nazwa firmy jest bardzo wymowna dla każdego, kto choćby pobieżnie interesuje się wielkim przemysłem na rynku wszechświatowym Czeska Skoda, z centralą w Pradze, znana jest dobrze od lat blizko 60-ciu ze swej wielostronnej wytwórczości, przodującej chlubnie na polu techniki. Sama więc firma daje bardzo poważną rękojmię, iż mamy do czynienia nie z próbami i których wartość dopiero przyszłość wykazać może, lecz z wielkiem doświadczeniem, gruntowną sumiennością i wytrawną pracą, prowadzoną przez wybitnych fachowców.

Polskie Zakłady Skody poświęcone są jednej tylko gałęzi produkcji, niezmiernie jednak doniosłej, wyrabiają one mianowicie silniki lotnicze o sile 450 koni syst. Lorraine Dietrich'a. Zakłady te powstały na terenie wsi Okęcie pod Warszawą, gdzie przed kilku laty rozpoczęto budowę fabryki lotniczej T-wa Frankopol. Budowy tej jednak nie ukończono. Teren wraz z niewykończoną halą fabryczną nabyły Polskie Zakłady Skoda na postawie odpowiednich umów z rządem polskim, związanych z treścią traktatów między Polską a Czechosłowacją.

Wzięto się do pracy z niebywałą energją dzięki czemu kierownictwo zdołało z pośpiechem iście amerykańskim wznieść przed nastaniem zimy, czyli w $4^1/_2$ miesiąca, budowle fabryczne, umontować w nich maszyny, i obrabiarki oraz uruchomić zakłady. Wśród budowli fabrycznych powstał oddzielny dom mieszkalny dla urzędników, których fabryka zatrudnia 120, a wśród nich 35 inżynierów. Wkrótce będzie rozpoczęta budowa domów robotniczych. W chwili uruchomienia fabryka dała zajęcie 550 robotnikom, stopniowo jednak liczba ta będzie podwojona, czyli dojdzie do 1100. Już ten jeden fakt budowy domów dla urzędników i robotników świadczy o głębokiem zrozumieniu przez Zarząd zagadnień socjalnych, co jest szczególniej ważne w Polsce, gdzie jak wiadomo, sprawa mieszkaniowa po wojnie doszła do ostrego stanu katastrofy gospodarczo - społecznej.

Zabudowana powierzchnia na Okęciu zajmuje obszar 17.000 metr. kw. Obecnie czynnych jest 360 obrabiarek, stopniowo jednak będzie ich jeszcze uruchomionych kilkaset.

Wszelkie narzędzia pracy stanowią najnowsze typy w technice współczesnej. Założono również przy Zakładach laboratorjum chemiczno - mechaniczne wraz ze stacją prób.

Jako dowód szczególnej dbałości o byt urzędników i robotników podkreślamy, iż Zarząd zakładów w dniu otwarcia złożył znaczną ofiarę na fundusz zapomogowy, podzielony na równe części dla urzędników i robotników.

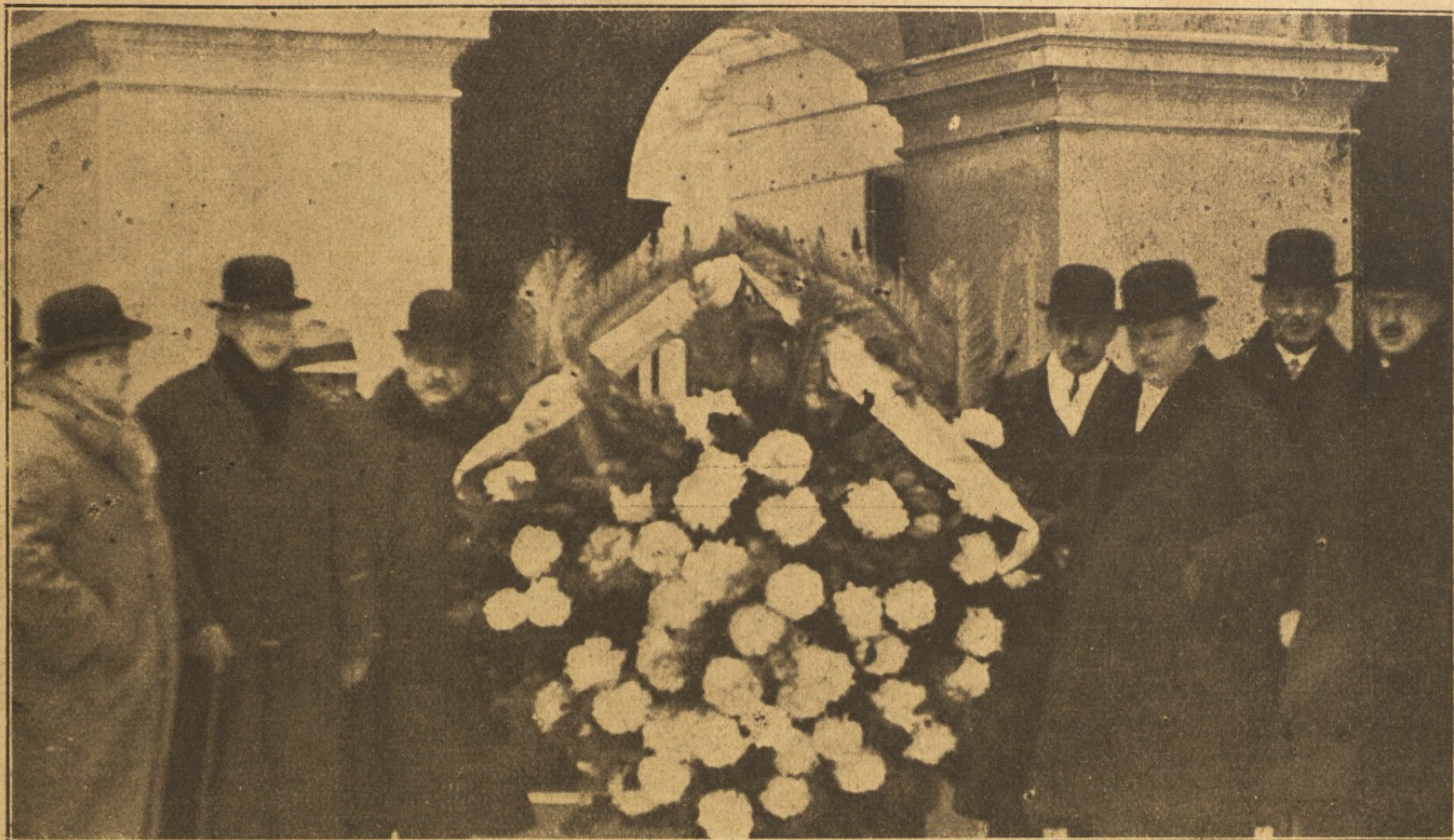
Wielkie znaczenie tej nowej placówki, założonej przez przemysłowców zaprzyjaźnionej z nami Czechosłowacji, polega na tem, iż Polska posiadając już kilka fabryk samolotów, w wyrobie najważniejszej i najczulszej części tych aparatów, stanowiących właściwe ich serca, a mianowicie silników, była ściśle uzależniona od zagranicy. W razie wojny mogłoby to mieć następstwa nieobliczalne. Powstanie Polskich Zakładów Skody daje nam w dalszym rozwoju lotnictwa zupełną niezależność, możemy bowiem rozwijać samodzielną produkcję w rozmiarach, odpowiadających istotnym potrzebom.

Na czele Zakładów stoi Rada Zawiadowcza, do której wchodzą: Prezes Stanisław Ks. Lubomirski, Wiceprezes Senator Józef Simonek, Członkowie Prof. Stanisław Okolski, inż. Stefan Skoczyński, dyr. Bolesław Awenarius, dyr. Tadeusz Heyne, dyr. dr. Władysław Sykora, dyr. Włodzimierz Fiala oraz dyr. Wilhelm Hromadko.

Naczelnym dyrektorem Zakładów jest inż. Tadeusz Heyne, dyrektorem technicznym inż. prof. St. Plużański.

Uroczysty akt poświęcenia stwierdził

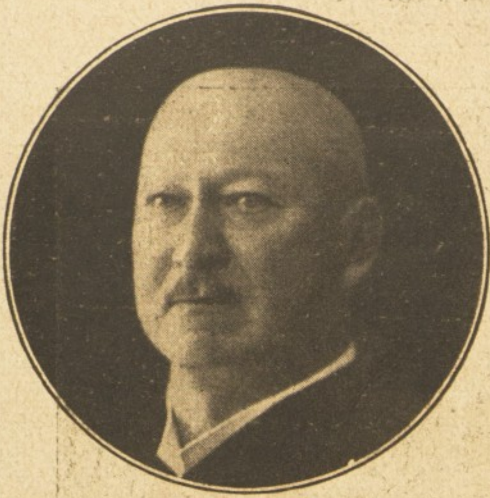
POLSKIE ZAKŁADY SKODY S. A. W WARSZAWIE



Wieniec Skody na Grobie Nieznanego Żołnieża, od lewej ku prawej: Dr. J. Scheiner, członek zarządu czeskich Zakładów Skody, Generalny dyrektor czeskich Zakładów Skody dr. K Loewenstein, prezes rady Zakładów Skody senator J. Simonek, naczelny dyrektor czeskich Zakładów Skody inż. V. Fiala, przedstawiciel czeskich Zakładów Skody w Polsce dyr. K. Baxant, naczelny dyrektor czeskich Zakładów Skody dr. V. Sykora, Attaché Wojskowy Czechosłowacji pułkownik Viest i Radca Handlowy Poselstwa Czechosłowackiego prof. M. Lom.

Wspólna fotografja Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego z robotnikami Polskich Zakładów Skody, w dniu poświęcenia tego nowego wielkiego warsztatu pracy dla pożytku lotnictwa polskiego. Obok p. Prezydenta stoi dyr. Heine. Za nimi gen. Konarzewski i Rożen. Fot. Marjan Fuks.

POLSKIE ZAKŁADY SKODY S. A. W WARSZAWIE



Senator J. Simonek, prezes czeskich Zakładów Skody



Dr. V. Sykora, naczelny dyrektor czeskich Zakładów Skody



Inż. V. Hromadko, naczelny dyrektor mech. fabr. czeskich Zakładów Skody

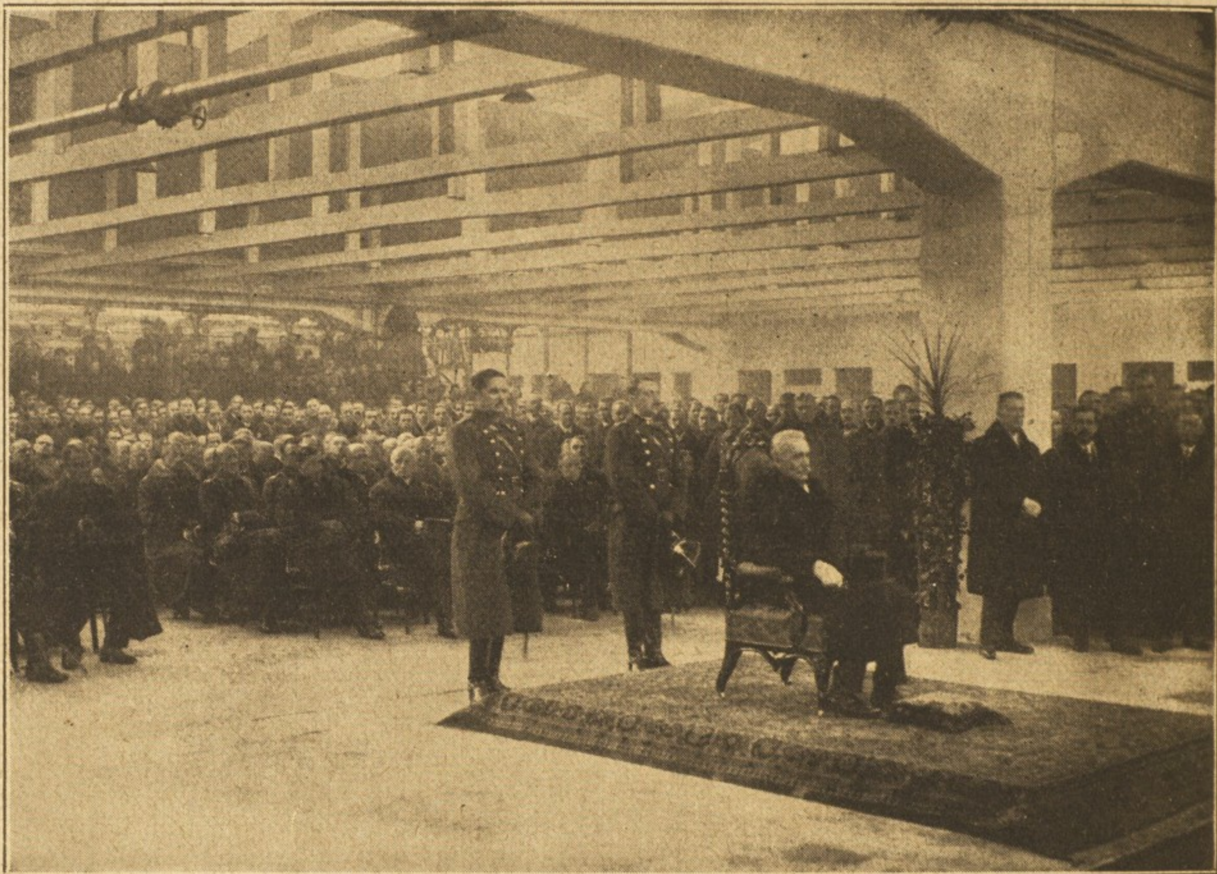


Inż. Tadeusz Heyne, naczelny dyrektor Polskich Zakładów Skody na Okęciu

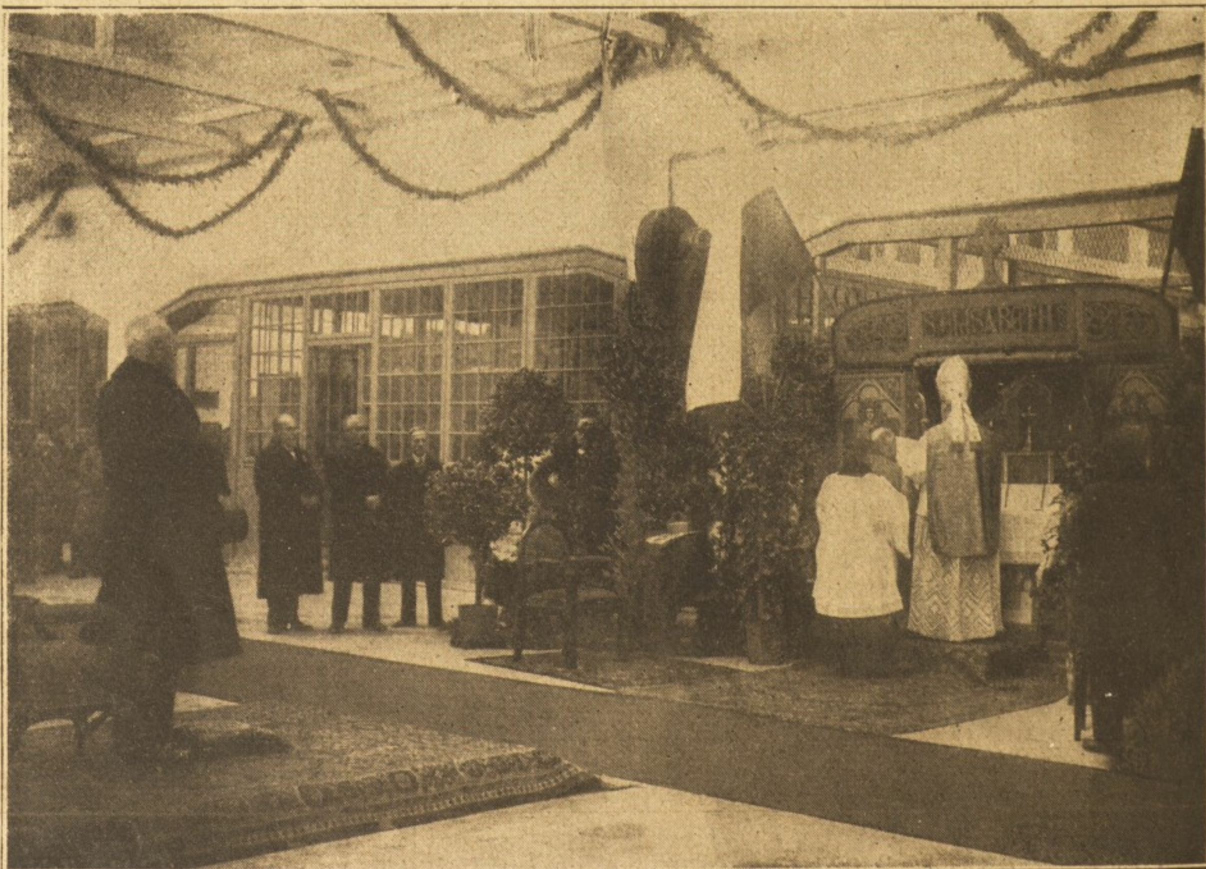


Prof. inż. St. Płużański, dyrektor techniczny Polskich Zakładów Skody na Okęciu

MSZA ŚW. NA INTENCJĘ ROZWOJU SKODY



Obecni: p. Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki. W pierwszym rzędzie siedzą pp. ministrowie: rolnictwa Niezabytowski, Przem. i Handlu Kwiatkowski, poseł czechosłowacji dr. Girsa. Za nim radca handlowy poselstwa Czechosłowacji prof. Lom. W następnym rzędzie siedzą: gen. Rożen, obok czechosłowacki atache wojskowy płk. Viest. Z prawej strony stoi szef Dep. lotn. płk. Rayski, obok b. prezes Skody dyr. Plewiński, dyr. kancelarji cywilnej Prezydenta Rzplitej adw. Dzięciołowski i dysponent Polskich Zakł. Skody p. Kabat.



Mszę św. odprawił J. E. Biskup Polowy W. P. Ks. Stanisław Gall — Fot. Marjan Fuks

dobitnie, iż zarówno władze nasze cywilne, i wojskowe, jak społeczeństwo, ocenili należycie doniosłość otwarcia tej nowej placówki. Niewiele bywa u nas uroczystości, któreby potrafiły ściągnąć tak liczną i wybitną publiczność. Przybyło ogółem około 800 osób, nie licząc miejscowych urzędników i robotników fabrycznych. Uroczystość odbyła się w wielkiej hali fabrycznej, w której przed ołtarzem polowym odprawił nabożeństwo J. E. Biskup Polowy ks. Stanisław Gall. Po mszy świętej ks. Biskup Gall dokonał poświęcenia gmachów.

Na uroczystość przybył Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, akcentując w ten sposób swe uznanie dla znaczenia nowych zakładów w interesie obrony krajowej i życia gospodarczego. Przybyli również liczni członkowie rządu, a wśród nich minister przemysłu i handlu inż. Kwiatkowski, minister rolnictwa Niezabytowski, zastępca ministra Wojny marszałka Józefa Piłsudskiego, jenerał Konarzewski, Szef lotnictwa Wojskowego pułk. Rayski, komendant mia-

sta pułk. Rożen, jen. Skierski, jen. Litwinowicz oraz wielu innych oficerów różnych rodzajów broni. Licznie również przybyli dyrektorowie departamentów, naczelnicy wydziałów oraz przedstawiciele świata nauki, finansów, przemysłu, handlu i prasy.

Poselstwo Czechosłowackie uczestniczyło in corpore z posłem ministrem pełnomocnym Girsą, attache wojskowym pułk. Viestem i radcą handlowym prof. Lomem naczelę.

Po poświęceniu wygłoszono szereg przemówień powitalnych. Rozpoczął je imieniem Rady Spółki Akc. Polskich Zakładów Skody inż Stanisław Jan Okolski, który na wstępie złożył gorącą wdzięczność Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej za zaszczycenie uroczystości swą obecnością, jak również licznie zgromadzonym przedstawicielom rządu, wojskowości, kół gospodarczych i przyjaciołom firmy za tak liczny udział.

Podkreślając następnie powagę wielkich zakładów Skody mówca w zakończeniu wzniósł okrzyk na cześć Rzeczypospolitej Polskiej i jej Prezydenta.

Następnie zabrał głos szef departamentu lotnictwa pułk. Rayski, który życzył zakładom, aby wytwórczość ich przyczyniła się do dalszego świetnie zapoczątkowanego rozwoju naszego lotnictwa.

Mówił dalej prezes Czeskich Zakładów Skoda, Senator Simonek, który po powitaniu Pana Prezydenta, ministrów i wszystkich gości oświadczył: „Tem większy spotyka mnie zaszczyt i tem większa jest moja radość, że nową ta placówka będzie terenem współpracy naszej z Waszą, przez Boga błogosławioną Ojczyzną.

Po tem serdecznem przemówieniu Prezydent Rzeczypospolitej prof. Mościcki i minister przemysłu i handlu inż. Eugenjusz Kwiatkowski wyrazili osobiście Panu Senatorow Simonkowi podziękowanie.

W mieniu Rady Polskiego Związku Przemysłowców Metalowych wygłosił przemówienie prezes Rady, inż. Jeziorański, który w dłuższem przemówieniu, charakteryzował wagę otwarcia Polskich Zakładów Skody.

W zakończeniu przemówił naczelny dyrektor Polskich Zakładów Skody, inż. Tadeusz Heyne.

Po wysłuchaniu przemówień Pan Prezydent Rzeczypospolitej wraz z gośćmi zwiedzał szczegółowo wszystkie działy fabrykacji, ujawniając wielkie zainteresowanie nową u nas gałęzią przemysłu.

Po obejrzeniu zakładów dyrekcja fabryki wydała śniadanie, w budynkach fabrycznych, podczas którego, w serdecznym nastroju, wygłoszono wiele przemówień, w których dało się wyczuć szczere wyrazy uznania sfer przemysłowych dla wybitnej i owocnej pracy Zakładów Skody.

Trzeba jeszcze w zakończeniu podkreślić wysoce sympatyczny akt ze strony gości czeskich, którzy wraz z prezydentem senatorem Simonkiem na czele złożyli imieniem Czeskich Zakładów Skody piękne wieńce na grobie Nieznanego Żołnierza. Ta pamięć o szarym Nieznanym Żołnierzu była dowodem szczerych uczuć, łączących Polskę i Czechosłowację.

Jan Czempiński

Na dwóch biegunach

W polskim przekładzie ukazały się dwie charakterystyczne książki beletrystyczne: L. Seifulinej „Mierzwa" i Pawła Moranda „Swawolna Europa". Są to dwa bieguny kultury. Stykają się jednak te przeciwieństwa. Żartuje sobie Paul Morand ze swoich wizji „Swawolnej Europy", nie szczędzi słów prawdy rzeczywistości bolszewickiej Seifulina. Wklęsłe zwierciadło Moranda parodjuje trochę życie, bezlitosna soczewka obserwacji rosyjskiej beletrystki pokazuje tragiczną parodję rzeczywistości, którą chciałoby się uważać choć za „mierzwę" lepszej przyszłości

Czy pisarz francuski jest zadowolony ze swego świata zachodnioeuropejskiej rzeczywistości? Gdyby odpowiedź tę uzyskać z jego „Zwierciadła o trzech odbiciach" lub „Rozkoszy nadreńskich" — to byłaby ona mało pozytywna. Niepoważna choć nieraz tragiczna jest psychika ludzi, wydarzeń, zagadnień, przesuwających się w kalejdoskopie jego opowiadań. Nawet gdy dotyka spraw rosyjskich — traktuje swój materjał beletrystyczny bez specjalnego nastawienia. Jest w tem paryska dezinwoltura. Gdy jednak czyta się opowiadania Seifulinej — wyrasta przed oczami potworna, bezlitosna, krwawa prawda o życiu rosyjskiem. Jest ono jaskiniowe, troglodycKie, pozbawione uczuć. Nawet piękno przyrody, budzenie się wiosny wizja beletrystki przedstawia w linjach uproszczonych. Pisze bowiem:

„Cieplejszem uczyniło się tchnienie wiatru. Opadły, zczerniały śniegi. Z pod śniegu tchnęła na ludzi podniecająca lubieżność ziemi, jej wiosenne pożądanie i przeczucie zapłodnienia. Starzy, mądremi, wiedzącemi oczami określali, kiedy w obejściu i w rodzinie będzie przychówek".

Tak prosto, naturalistycznie i tylko naturalistycznie przedstawia się Sejfulinej życie. Wie ona, że jest tylko „mierzwa", uprawa pod coś, co ma przyjść. Wiara w możliwość tej nowej rzeczywistości łagodzi trochę okrucieństwo jej wizji artystycznej.

Dwa bieguny europejskiej rzeczywistości przeglądają się w opowiadaniach Moranda i Sejfulinej. Wskazują, że nie są to jednak wizje Europy, co losami własnemi umie pokierować według celowej, rozważnej, planowej, przewidującej myśli. Czy taka Europa istnieje? Nie trzeba nawet o to pytać; ale jest ona w pismach beletrystycznych nie tych żartobliwych czy naturalistycznych pisarzy.

Notatki artystyczne

WYSPIAŃSKI — ARTYSTA — CZŁOWIEK — ŻYCIE

Twórczość St. Wyspiańskiego jest przedmiotem licznych rozważań. Interesuje, jako piękno słowa, podziw budzi jako wizja malarska. Prof. Wincenty Trojanowski napisał książkę, analizującą dzieło malarskie twórcy znakomitych witraży i polichromji kościoła Świętego Franciszka w Krakowie. Wyspiański - malarz w historji naszej plastyki posiada własną, oryginalną kartę. Szeroki ogół nie zdaje sobie dostatecznie z tego sprawy. Wyspiański - dramaturg odsunął cokolwiek z widowni Wyspiańskiego - malarza. Jest on jednak twórcą o równorzędnej sile realizacji swoich zamierzeń artystycznych. Prof. Wincenty Trojanowski w książce swojej pokazał, jak poważnie, jak pracowicie, jak dostojnie traktował swój zawód Wyspiański. Liczne listy, przytoczone przez autora tej książki, mówią, przez jakie trudy, zwątpienia, wzloty przechodził znakomity, genjalny malarz. Niewszyscy doceniali jego talent. Witraże Wyspiańskiego, teraz tak cenione i podziwiane, spotkały się z oporem pewnych kół opinji artystycznej. Wyspiański pracował w nędzy. Za dzieła swoje brał grosze. Interesujące szczegóły o honorarjach z kościoła Franciszkańskiego, o zamówieniach ze Lwowa przytacza prof. Trojanowski. Wogóle trzyma się on faktów, zaczerpniętych z korespondencji, ze wspomnień ludzi, którzy stali w blizkim związku z twórcą „Wesela". Metoda ta daje dobre rezultaty: obserwuje się, jak gdyby osobiście, rozwój życia i narastanie twórczości. Książka ta stwierdza jeszcze raz niezbicie smętną prawdę: niełatwo żyje się w Polsce artyście. Trzeba wielkich zasobów energji i wiary, borykając się z nędzą, znajdować jeszcze czas i siłę na twórczość oryginalną, przysparzającą chwały polskiemu imieniu.

Książka prof. W. Trojanowskiego winna obudzić duże zainteresowanie. Mówi przecież o twórcy o renesansowem rozpięciu możliwości artystycznych.

Tam Kupujcie!



NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Kadencja Sejmu i Senatu zakończona. Prezydent Rzeczypospolitej wydał dekret o wygaśnięciu mandatów.

Sytuacja przedwyborcza przedstawia się na razie bardzo chaotycznie. Ani w lewicy, ani w stronnictwach chłopskich nie zarysowały się jeszcze wyraźne bloki wyborcze.

Ważne narady odbył premier Piłsudski w Wilnie z udziałem ministrów Zaleskiego i Knolla, posłów Patka i Łukasiewicza oraz administracyjnych władz lokalnych. Omawiano przedewszystkiem sprawę emigrantów kowieńskich, chroniących się na polskie terytorjum.

Na narady Ligi Narodów wyjeżdża przedstawicielstwo polskie z ministrem Zaleskim na czele. Nie jest wykluczone, że w razie potrzeby także premjer uda się do Genewy.

Umowa emigracyjna polsko - niemiecka została podpisana w Warszawie. Uregulowanie tej sprawy było od dawna konieczne.

LITWA I POLSKA

Sytuacja polityczna w Kownie w najwyższym stopniu naprężona. Dni dyktatury Waldemarasa policzone; ogół ludności jest wrogo względem niego usposobiony.

Dyplomatyczną interwencję podjęli w Kownie przedstawiciele ententy, doradzając Litwie stworzenie rządu konstytucyjnego i znalezienie modus vivendi z Polską.

Gwałtowne skargi na rzekomą agresywność Polski w stosunku do Litwy podniósł Waldemaras w trzech notach, wystosowanych do Ligi Narodów. Nikt nie bierze ich na serjo.

Rząd polski rozesłał do państw notę, w której stwierdza, że pragnie nawiązać z Litwą normalne pokojowe stosunki, licząc w tem dążeniu na pomoc wszystkich rządów i oświeconej opinji świata.

SPRAWY POLSKIE

Rokowania berlińskie o traktat handlowy dały pomyślny rezultat, przygotowując grunt do dalszej pracy.

Dalsze rokowania handlowe z Niemcami toczą się w Warszawie przy udziale delegacji niemieckiej z byłym ministrem p. Hermesem na czele. Z polskiej strony przewodniczy minister Juljusz Twardowski.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Pp. Litwinow i Stresemann odbyli narady w Berlinie. Mówili zwłaszcza o Litwie, pretendując do roli aniołów stróżów zabezpieczenia pokoju Wschodniej Europie.



ZAJĄC DO ZAJĄCA:

— A zdawałoby się, że rozmawiają całkiem rozumnie. Słyszałeś? Mówią, że rozbrojenie jest koniecznością. Le Rire.

CAFFE ITALIA

W WARSZAWIE

NOWY ŚWIAT 23/25

Caffe Italia w Warszawie, Nowy Świat 23/25 to modna kawiarnia naszej stolicy, uczęszczana przez wytworną publiczność

Znakomite napoje, kawy, czekolady e. c. t. oraz ciasta, ciastka i t. p. wyroby w zakres cukiernictwa wchodzące. Piwnica zaopatrzona w wina i likiery.

Wieczorami od g. 6 przygrywa zespół muzyczny o wysokim poziomie artystycznym, w niedziele i święta poranki muzyczne.

Caffe Italia przy cenach konkurencyjnych zdobyła zaufanie naszej publiczności. Italia idąc drogą postępu, w górnych swych salach zainstalowała bilardy, które są czynne od kilkunastu dni, sale bilardowe widne wysokie specjalnie na ten cel urządzone, świecić mogą przykładem hygieny i komfortu.

Ela

SPROSTOWANIE

W numerze 47 „Świata" zamieszczono notatkę p. t. „Nowe laureatki", w której mylnie wydrukowano nazwisko p. Haliny Marji *Dąbrowolskiej*, utalentowanej nowelistki, autorki nagrodzonej noweli p. t. „Weronika".

PIELĘGNOWANIE PRAWIDŁOWEJ CERY nie wymaga nieodzownie ożywiania kremem ożywczym „Oxa" D-ra Lustra. Rano i wieczorem powlec twarz *kremem matowym D-ra Lustra*, a po 10 minutach zmyć gorącą wodą i *D-ra Lustra otrąbkami migdałowemi*. Podkład kremu pod puder zbyteczny, ponieważ wykwintny *puder egzotyczny D-ra Lustra* przylega bez podkładu ściśle do skóry.

Ciąg dalszy nastąpi.



W jaki sposób uczynić każdy posiłek rozkoszą!

W myśl twierdzenia słynnego lekarza nie należy żyć, aby jeść, lecz odżywiać się, aby módz należycie wykonywać swe obowiązki.

Pożywienie nieodpowiednie wywołuje zły wygląd, zaburzenia żołądkowe, psuje humor, zmniejsza siły do pracy, zakłóca sen i. t. d. Stąd wniosek, iż w kwestji odżywiania jakość pokarmu jest ważniejsza od ilości.

Wychodząc z tego założenia, Ovomaltine stanowi prawdziwą rozkosz zarówno dla podniebienia, jak i dla żołądka. Jako pokarm wysoce odżywczy, łatwostrawny i o miłym smaku, dostarcza ona organizmowi wszystkich niezbędnych dlań substancji, nie obciążajac przytem organów trawiennych.

Początkowo przeznaczona jedynie dla chorych, wkrótce stała się Ovomaltine rannym posiłkiem każdego pracującego człowieka.

Niech nam wolno będzie przytoczyć przykład.

Sprawozdanie lekarza:

„..... lecz ilekroć najstaranniejsza djeta zawiedzie, otrzymamy zawsze dobre wyniki, stosując Ovomaltine'ę.“

Ovomaltine wnosi zdrowie i radość do pokoju chorego, smakuje każdemu i jest nadzwyczaj łatwostrawna. Daje ona siły i odporność, jakich potrzebuje każdy, aby stawić czoło ciężkim warunkom współczesnego życia.



Mała przedtem bledziutka, rozkwitła jak róża... to też cała rodzina zaczęła przyjmować Ovomaltine'ę.

OVOMALTINE

podtrzymuje i zwiększa siły.

Dr. A. WANDER S. A., BERN

Firma założona w 1865 r.

Stosując Ovomaltine'ę rano, uczynicie rozkosznem wasze pierwsze śniadanie.

Ovomaltine'ę przyrządza się bardzo szybko: rozpuścić 2 łyżeczki do herbaty w filiżance gorącego mleka (nie gotując) i osłodzić do smaku. Otrzymamy wyborny napój odżywczy, wysoko ceniony również podczas wycieczek.

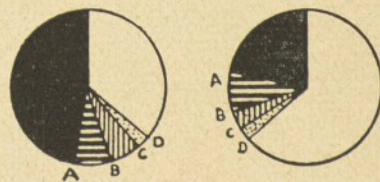
W sprzedaży wszędzie w puszkach 250 i 500 gramowych. Żądajcie prób bezpośrednio od fabryki.

Próba strawności Ovomaltine'y.

z zastosowaniem sztucznego soku żołądkowego.

na lewo: **roztwór 2 łyżek do herbaty Ovomaltine'y w wodzie.** na prawo: **czyste mleko krowie.**

Poniższe wykresy wskazują całkowitą ilość białka zawartego w każdej z tych cieczy.



Ilość rozpuszczonej proteiny:

	A. na początku doświadczenia	B. po upływie 1 godziny	C. po upływie 2 godzin	D. po upływie 4 godzin
Mleko	22,3%	28,6%	31,6%	33,3%
Ovomaltine	47,2%	55,3%	62,0%	63,5%

Stwierdzamy, iż Ovomaltine na początku procesu zawiera podwójną ilość protein, przyczem proces jej trawienia odbywa się o wiele prędzej.

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa